



O GŁUPIM GAWLE.

KLECHDA NIEMADRA.

KLINOWI

w dowód połowiczego uznania — *Klin Klinem.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Przedśpiew. Miłe złego początki, lecz koniec żaloszny. Owo zgoła: czy warto się urodzić córką czarnoksiężnika?

Działo się to, dajmy na to — w Kiernozi.

Ktoś, kiedyś, dostał tam w papę na samym środku rynku. Powiadają mu: — »Pewnieś wyzwiał twego ofiarodawcę?« — A on na to: — »Albo ja głupi, cóż to takie miasto jak Kiernozia!«

Niesłusznie on się tak wyraził, bo Kiernozia jest to miasto liczące pewną liczbę mieszkańców, i nawet założone któregoś tam roku.

W owem tedy mieście niepośledniem, żyła raz baba, która miała trzech synów — dwóch mądrych a jednego głupiego.

Obecnie, chodziła po podwórkach, wołając: — »Kości kupuję, kości!« — ale nie zawsze tak było. W młodych latach, rozbijała się ona karetami, będąc dość wpływową córką, nieco już nadwietrzałego — jak na obecną chwilę — czarnoksiężnika. Na nieszczęście zapruszyła sobie głowę pewnym perukarczykiem, niezmiernie zabawnym obwiesiem, w którym największe nawet panie — jak sam zapewniał — na zabój się kochały. Z nim tedy uciekła, a kiedy ją w trąbę puścił, spróbowała do ojca wrócić — ale na miejscu rodzicielskiego pałacu, zastała już tylko olbrzymie śmietnisko.

Powiedział jej stójkowy tamtejszy: że widział na własne oczy, jak stary jegomość, zabrawszy kasę ogniotrwałą pod jedną pachę a pałac swój pod drugą, wsiadł do doróżki, której numeru nie pamięta, i pojechał w stronę, której nie zauważył, bo właśnie wtedy odwrócona była od niej chorągiewka cyrkulowa. Czy

zaś, i kiedy wróci, tego on, żeby mu kto nawet rubla dał, wiedzieć nie może, gdyż poruczono mu tylko pilnować, ażeby na ulicy śmiecie nie leżały, ale o placach całkiem przemilczano.



Św. Mateusz dodaje chłodu
I raz ostatni podbiera miodu.



Ptaszki przed Michałem odleciały,
Będzie ostry grudzień cały.



Grzmot w dzień św. Michała,
Żyzność przyszła, Bogu chwała.



Sfrasowana kobieta założyła naprzód magazyn strojów damskich, ale że się za często przejeżdżała do Paryża, więc miała potem sklep z produktami spożywczymi; — ale że lubiła podwieczorki w Marcellinie, więc się przeprowadziła do dystrybucji; tu zaś, że nabrała nawyknienia do papierosów, oraz herbaty z półkieliszkiem, więc się przeniosła do budki z wodą sodową — gdzie znów, porzuciwszy herbatę, zatrzymała się przy pół a następnie przy całym kieliszku — i oto, jakim sposobem doszło do tego, że ją słyszymy obecnie podziemnym z upracowania głosem dopraszającą się obgryzionych kości — z czego wypada: że nie zawsze warto przyjść na świat córką czarnoksiężnika.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Córki tej stosunek ze swemi syny. Przyglądanie się cudotwórcze i tegoż skutki w zakresie kształcenia umysłu. Trudności na drodze powołania do naprawy społecznej, i z tych trudności szczęśliwe wybrnięcie.

Z kosztowności, które była kiedyś, z kochankiem się wymykając, od ojca tajemnie pożyczyla, pozostały jej już tylko trzy talizmany, i temi synów swoich, skoro do lat podochodzili, poobdzielała.

Najstarszy Szaweł, że był jej ulubieńcem, gdyż do złudzenia przypominał ukochanego perukarczyka, dostał w darze szczoteczkę; osobliwszą szczoteczkę, bo taką, co to, byle się człek nią przyglądził, jużci zaraz wszyscy się w nim kochali. A no w to mu graj! Powiada sobie: — »Kiedy tak, to ja się tu bodaj z królowną (mówił królowną) ożenie.«

Więc przyglądał sobie włosy i przyglądał, a zawsze się tylko rozpatrywał. Ta niedość przyzwoicie urodzona, tamta mniej niż przystoi bogata, owa znowu więcej niżby on rad, rozumna. Więc, żeby sobie nie mieć nic do wyrzucenia, dla takich tymczasem się przyglądał, z którymi żenić się nie widział powodu. Dla nich gładził się i gładził, aż i wyłysiał.

Jużto urodził się on z żyłką analityczną, i oto czemu wiecznie się wahał w wyborze.

Powołanie zaś na krytyka odkrył w sobie w sposób następny. Naprzód, uczęszczał na wydział prawny. Z tego, nie wiem nawet czy po roku (przypominam, że się to działo w Kiernozii), przesiadł się na lekarski; ten zaś w niecałe półrocze osierocił dla filozoficznego. Pozostało jeszcze seminaryum, ale do tego, młodzieńcem bezwyznaniowym będąc, nie czuł już najmniejszej ochoty.

Wszędzie on wolnym bywał słuchaczem; takiemu zaś, jak wiadomo, wolno wiele i wiele mu bywa przebaczano. Nauczyciele! ba! ba! Ten zapleśnialec, ten niezdara, ów jak but głupi, z tamtym gadać nawet nie warto. Precz z powagami! Już minęły te czasy i na pewno nie wrócą, kiedy to gadano: — »Ten tak powiedział, więc wierzyć mu trzeba.« — Dziś, ile głów, tyle rozumów samodzielnych, nikt od drugiego nie gorszy, owszem, zawsze lepszy ten, co później nastał.

Szaweł począł chodzić po redakcyach.

— Czy nie potrzebny tu czasem krytyk do wszystkiego?

— Nie, nie potrzebny, wszędzie już jest jeden taki, znacznie od drugich lepszy.

Szaweł próżno zaręczał, że takiego jak on jeszcze nie widziano. — Do dyabła, czyż kto był kiedy prokiem pomiędzy swemi?!

Aż raz ktoś mu powiada:

— Słuchajno, reporterem być, to jeszcze korzystniej. Takiemu wszystko samo w ręce wchodzi, więc głowy on sobie nie wysila. Każdy jak ognia go się boi, znając w nim Wszędobylskiego i Wszystkowiedza. Wyroków swoich nie podpisuje, więc nie jest za nie odpowiedzialny. Takiego wszędzie karmią, poją, ubierają; na widowisko każde darmo wchodzi, bezpłatnie wszędzie się przejeżdża, na instalacjach wszelakich prym trzyma, nigdzie za kołnierz nie wyleje; papierosami go nawet czasem częstują takimi, co są poprostu zwinięte z tęczówek.

Szaweł sobie myśli:

— No tak. Godzien jest robotnik swej zapłaty.

Jednak się wahał nieco.

— Reporter? Jakto? Taki zziązany facet, wiecznie z językiem na brodzie?

No, są rozmaici. Od uroczystego pozdrawiania nowych garkuchni, lombardów, składów z bielizną lub z węglami. Od rautów na wsparcie tych co robią stroje; — tańców, na rzecz tych co w łóżku leżą; loteryi, gdzie w imię miłosierdzia wygrywa się to, co przegrywają drudzy. Od zająć w tramwajach, tworzenia projektów, poglądów z odcieniem prawodawczym, wyścigów z naciąganiem u totalizatora, bazarów z mimochętnymi naddatkami. Od przejechań, posiedzeń rad rozlicznych, wieży ciśnień, jubileuszów, otruć, spraw latarniowych, zapadania się domów, ucieczek, wylewów i tym podobnych życia objawów (czy nawet bodaj przejawów).

Co tu wybrać w tem bogactwie?

Szaweł postanowił być eklektykiem.

Zresztą, nie reporterem on będzie, ale sprawozdawcą. O! to jest dopiero wyraz właściwie odpowiedni charakterowi jego powołania. Sprawozdawca dokumenta zbiera, fakta gromadzi, i z tych, niemylną indukcyi drogą, wyprowadza prawa ogólne — wszakże tak? No, no, synteza, niech dyabli wezmą, tożto dopiero potęga!

Na próbę, redaktor kazał mu »konkretnie schlastać« redaktora drugiego pisma, które się wprzód niż on przed końcem kwartału, o prenumeratę wdzięczyc poczęło.

Szaweł syntezę swoją oparł na tej tezie: że pomieniony jegomość wszystko widzi z krzywego stanowiska. A trzeba wiedzieć, że ten miał jedną łopatkę wyższą, o czem sądził błędnie, że nikt nie wie. Zaraz tedy odpadło mu siedmiu prenumeratorów, z których czterech zrobiło oszczędność, całkiem się wyrzekając wszelakiego pisma, trzech zaś przeniosło się tam, kędy Szaweł przyjął służbę.

Szaweł tedy, jak się patrzy, odrazu ze wszystkich wydziałów na które uczęszczał, »z odznaczeniem« zdał egzamen. Bowiem przyznali mu nawet współzawodnicy (z obłudną trochę przesadą), że się spisał całkiem »koncertowo«. Bądź co bądź, artykuł jego zrobił, jak się to mówi w dziennikarstwie, »furorę«.

Cóż kiedy furora owa zaraz włożyła mu w głowę niezbyt uzasadnione o niezawisłości swojej przekonanie. Jakoż, niebawem miał się znów przekonać: że jednak nosi na szyi obrożę.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Szaweł się potknął, ale na jedną nogę. Szaweł się potknął, ale na obie — i tu i tam z przyczyn, nie tyle od niego, ile od krewkości ludzkiej zależnych.

Raz tak się stało, że podał sprawozdanie o otruciu się (wprawdzie nie szkodliwym) pewnej (domyślnie, dla dokładności) dwudziestopięcioletniej panny, łebkami od zapalek. Tu następowały obszernie uwagi (po sześć groszy od wiersza) o szkodliwości (wprawdzie jak widzieliśmy nie zupełnej) wyrobu firm różnych w ogóle, z wyjątkiem jednej jedynej (50 rubli do ręki i zapalek ad libitum), która sztandar przemysłu krajowego z całem poszanowaniem na przedzie niosąc, itd. itd. itd.

Z tego chryja niespodziewana.

Znagła redaktor dzwoni bardzo mocno.

— Wołać mi tu naczelnego reportera!

— Cóż to pan jesteś za kierownik rzeczy społecznych — rzecze do niego — że mię narażasz na podobne odpowiedzialności! Tylko co tu był opiekun owej panny, grożąc nam procesem o oszczerstwo. Bo ona wcale jeszcze nie ma lat dwudziestu pięciu, będąc dopiero obiecującą pensyonarką (pensyi jednak wymienić nie chciał). — Jak śmiecie nos wtykać w stosunki święte domowego ogniska? — tak mówił. — Panna z waszej przyczyny może nigdy nie znaleźć męża — tak się wyraził. — Czyście oglądali jej metrykę? — jego to są słowa. — Ja was tu nauczę! — rzekł na samym końcu. — Proszę mi więcej nie przysyłać pisma. — Z tego powodu zechcesz pan niezwłocznie wydalić lekkomyślnego reportera.

Żle z Szawłem.

Po namyśle, nie tracąc czasu, przyglądał się szczoteczka, chcąc pójść przypodobać się żonie swego naczelnika. Na nieszczęście objaśniono go, że państwo owi codziennie rzucają na siebie stołkami, pobrawszy się zresztą (ale to kiedyś) z gorącej miłości. Więc się udał do redaktorowej. Ta zaś, że miała już spełna dwadzieścia pięć lat skończonych, tedy Szaweł, mimo niejakich trudności, w końcu wygrał u niej sprawę.

Prostu dostarczono redaktorowi dowodów, że ów opiekun panny sam także pewnie robi zapalki, tylko że skuteczniejsze w mniemaniu swoim, niż te, które Szaweł był zachwalił, i ztąd całe to zajście mniej rozsądne.

Tym sposobem Szaweł, przy pewnym wysiłku, ocalał.

Wszakże niestety! — Krytyka jako studnia wiedzy, wcale to ożywcze źródło (dochodu), byle się tylko w nią nie wpadło. Tym razem pilny badacz zahaczył się na cembrowinie, ale niebawem miał się skąpać z głową, aż wreszcie i zbadać, jak też dno wygląda.

To zaś, stało się w sposób następny.

Raz, pewna artystka (tylko co nie powiedziałem mniej przyzwoicie, aktorka), zdaniem Szawła, tak »świetnie« grała swoją rolę, że chyba suknia jej pochodzić musiała wprost od Wortha.

Tu już przyszło do skandalu.

Nakładca dzwoni z niezmierną siłą.

— Wołać mi tu redaktora.

— Cóż pan jesteś za literat — mówi do wchodzącego — że mię narażasz na podobne ublżenie. Od czasu jak dzierzę w rękę wodze mego pisma, nie było jeszcze równie gorszej, że tak nazwę, hecy. Panu powierzyłem jego kierunek, i chcę za to tylko płacić, co się opłaca. Podwładni moi nie są trzymani, widzę, w stosownej karności. Suknia Elfrydy wcale nie była od żadnego Wortha, tylko wyszła ze słynnego magazynu mojej własnej żony — chcę mówić małżonki — (firmy Madame Rachel, bez kompanii jak wiadomo). Z tego powodu, potrzebujesz pan natychmiast wypędzić paskudnego reportera.

Szaweł odrazu z kretelem zginął.

Nie była już pora starać się o względy pani Racheli, zwłaszcza, że — wymijając tę niezbyt powabną damę — poprzednio wszystkie panny z jej magazynu w sobie rozkochał.

Ha! cóż? Zgubiła go chęć wyróżnienia się samorzutnym stylem. Gdyby się był pilnował utartej drogi, na której w różnych przemianach szykujesz tylko do nieskończoności gotowe już wyrażenia, jak: rycerze miotły i bata, gród syreni, wyrzucanie z piersi górnego c, nasz salon letni, sport wioślarski, ojcowie miasta, podkasana muza, przybytki Gambrynusa; a także pękate określenia zbiorowych pojęć, w rodzaju: premiery, balleriny, letników, kamieniczników, kuracyuszów, powodzian, i tym podobnych pomysłów językowych, zdolnych potężnie zgrubić słownik Lindego — byłby do dziś dnia używał zasłużonej sławy bezimiennego (przy bezprzykładnem powodzeniu) czynności ludzkich nadzorcy, a tak — wszystko z nagła (jak sobie powiedział) dyabli wzięli, i tyle.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FELICYAN FALEŃSKI.



PANNA Z POSAGIEM.
KOMEDIA W JEDNYM AKCIE.¹⁾

OSOBY.

SĘDZIA.
JADWIGA, jego córka.
P. LEONOWA, przyjaciółka Jadwigi.
JAN.
ALBIN.
LUDWIK.
FRANCISZEK, lokaj.

Rzecz dzieje się na wsi, w domu sędziego.

Pokój bawialny umeblowany ze smakiem. Drzwi troje: jedne w głębi z głównym wyjściem, dwoje po bokach. Po prawej stronie publiczności kanapa, stół i kilka krzeseł, po lewej stoliczek i dwa fotele, z tejże strony zwierciadło stojące; w głębi po obu stronach drzwi głównych konsole, etc. Okna dwa, jedno z prawej strony wychodzące na dziedziniec, drugie z lewej na ogród.

SCENA I.

P. LEONOWA (siedzi w fotelu przy stoliczku z lewej strony i czyta list).
JADWIGA (wsparta na poręczu stoi za nią, trzymając w ręku fotografię, której się przypatruje).

P. LEONOWA.

Data na liście jest 15 czerwca; prezesowa wyraźnie pisze, że będzie się starał przybyć najdalej za dwa tygodnie... a to już dziś chwala Bogu 28-my... Jutro Piotra i Pawła, pojutrze niedziela... założyłabym się, że przyjedzie na te dwa święta... zobaczysz! Wszak mieszkając o kilkanaście mil, nie puszczałby się w tak daleką drogę w uroczyste święto... nieprawdaż?

JADWIGA (przypatrując się ciągle fotografii).

I ja tak myślę.

P. LEONOWA (podnosząc ku niej głowę).

Cóż się tak przyglądasz... przyznam się, że nie ma znowu tak dalece czemu...

JADWIGA.

Dosyć przystojny.

P. LEONOWA.

Pokażno! (przyglądają się obie) Istotnie, wszystkie rysy niby ładne... ale... (potrząsa głową) jest coś w całości dla mnie wstrętnego; ta cała poza wymanierowana, ten uśmiech stereotypowy, świadczący o zadowoleniu z siebie, ten wyraz, a raczej brak wyrazu w oczach...

JADWIGA.

E, to może być wina fotografii...

P. LEONOWA.

Gdzie to robione?... nie patrzałam... w Berlinie... Bardzo dobra fotografia jako dzieło sztuki, ale... wiesz jakbym określiła jego charakter?

JADWIGA.

Ciekawam... (Idzie na środek sceny).

P. LEONOWA.

Zimny, zarozumiały, rozmiłowany w swojej powierzchowności, i co za tem wszystkim idzie, samolub do najwyższego stopnia.

JADWIGA.

A to ślicznie! I to Karolcia odzywa się tak nie po chrześcijańsku o nieobecnym, który nie może się bronić!

P. LEONOWA.

O! moja droga. Karolcia ma już doświadczenie, okupione ciężkimi próbami; oszukana najhaniebniej, złudzona układnością obiecującą wiele, a w rzeczywistości pełną obłudy, na której nie umiała się wówczas poznać, nabyła daru instynktowego odgadywania ludzi.

JADWIGA.

Ale przecie nie z fotografii, które najczęściej niepodobne...

P. LEONOWA.

I niepodobne i nie na korzyść zwykle, to prawda; ale wiesz dla czego? bo rzadko kto odbija się z tym samym wyrazem twarzy, który przybiera jak maskę wobec ludzi, ażeby się wydać jak najlepiej. Każdy siadając usiłuje być dobrze i drapuje się jak może; ale pod wpływem nieznośnego przymusu, którego panowie fotografiści nadużywają bez skrupułu, nie wiele kto wytrwa, piętnując oblicze zniecierpliwieniem, objawiającem się rozmaicie. I tak...

JADWIGA (przerywając).

Zlituj się, odłóż na bok tę artystyczną erudycję, bo gotowaś wmówić we mnie już naprzód, że pan Albin wbrew hymnom pochwalnym prezesowej...

P. LEONOWA (podchwytuje, śmiejąc się).

Nie odpowie marzeniom. Bądź cierpliwa, wkrótce będziemy mogły robić spostrzeżenia na oryginał; zresztą, ja nie przesądzam, tak mi się zdaje i koniec... (Po chwili, spojrzawszy jeszcze raz na portret) Ale bądź jak bądź, nigdy nie wytrzyma porównania z Jasiem... (Rzuca fotografię na stół).

JADWIGA (zamyśliwszy się, nagle).

Z panem Janem?

P. LEONOWA.

Kiedy już ta materya na stole, powiedz mi, co ty zamierzasz, i jak myślisz zachować się w tej całej sprawie?...

JADWIGA (z smutnym uśmiechem).

Zdaje mi się, że jedną tylko mam drogę: trafia mi się konkurent, człowiek, jak pisze prezesowa, mądry, przyzwoity i odpowiedni dla mnie pod każdym względem, więc rada mu będę niewymownie...

P. LEONOWA (z wymówką i jakby strofując ją).

Jadwisiu!

¹⁾ Zastrzegają się prawa spadkobierców autora wobec scen polskich. — Teatra, któreby chciały nabyć »Pannę z posagiem« zechcą się zgłosić do Zygmunta Sarneckiego, Kraków, 34, ulica Szpitalna. (Przypisek redakcyi).

LUDWIK STASIAK.



NA PUSTKOWIU.

JADWIGA.

Nie podoba ci się? więc pomówmy bez żartów, poważnie. Znasz bardzo dobrze moje położenie; mam lat dwadzieścia i jestem, rzeczby można, bez opieki, oddana sama sobie; ojciec wprawdzie człowiek najpocziwszy i zacny, ale widzisz sama czy stworzony na przewodnika, mającego kierować krokami młodej panny. Gdy więc z konieczności muszę sama myśleć o sobie, cieszyć mi się wypada zapowiedzianem przybyciem owego pana Albina, który posiadając wszystkie wymagane przez opinię tytuły na konkurenta, ma oczywistą szansę podobania się.

P. LEONOWA.

Podobno tak się to dziś dzieje najczęściej. Nim serce przemówi, potrzebuje przejrzyć dowody legitymacyjne. Ale chociażby przypuścić, że to dobrze, że traktując kwestię małżeństwa na zimno, oszczędzamy sobie wiele cierpień, to wracając do Jasia — chciałam mówić do pana Jana — czy i ten nie przedstawia się w tych samych warunkach? czy nie posiada wszystkich cech starającego się, a co więcej zakochanego?

JADWIGA (z wybuchem).

On! żartujesz sobie... on zakochany! czy dla tego, że jako bliski sąsiad pożyczka mi książek do czytania, a jako amator ogrodu przywozi kwiaty? on! tak zawsze poważny, gdy rozprawia o literaturze, albo przeciwnie wesoły aż do zbytku, gdy wpadnie na humor dowcipkowania.

P. LEONOWA.

Ale dowcipkuje ze smakiem, miło go posłuchać...

JADWIGA.

A tak zawsze pełen uszanowania...

P. LEONOWA.

Czy masz mu za złe, że cię szanuje?

JADWIGA.

Nie łap-że mnie za słówka, wiesz dobrze, co chcę powiedzieć... Zresztą myślę się... nieraz mi przytnie tak dotkliwie...

P. LEONOWA.

Gdy jak rozpieszczone dziecko odezwiesz się nie stosownie! To wszystko ja sobie inaczej tłómaczę. Ale uważając rzecz i z materyjalnej strony, czy można tak dalece mieć co przeciwko niemu?

JADWIGA (żywo z lekceważeniem).

Mówisz o stanowisku majątkowym?

P. LEONOWA.

W tej mierze na pozór dałoby się zrobić mu pewne zarzuty, ale tylko na pozór. Zaraz ci to wytłómaczę cyframi, bo mówmyż już jak spekulantki, kiedy to teraz w modzie. (Jadwiga niecierpliwi się). Jest tylko dzierżawca, a ty, ze względu na twój posag, powinnaś iść za dziedzicą; ale w obecnym razie o cóż idzie? tylko o przekonanie, że nie stara się o ten posag, lecz o ciebie; bo gdy idziesz za mężczyzną, którego serca jesteś pewną, a który przytem lubo sam z siebie niewielki ma majątek, ale obraca nim umiejętnie i każdy krok jego na świecie nacechowany jest rozumną myślą, to z pewnością będziesz w nim miała prawdziwego opiekuna i podporę... (z uśmiechem) oraz

najsumienniejszego administratora twego majątku, o co głównie chodzi.

JADWIGA.

Dajżeż pokój.

P. LEONOWA.

Taki obawiać się będzie cienia pozoru dającego komuś prawo do pomówienia go o wyrachowanie i będzie myślał tylko o tem, jak ci umilić każdą chwilę życia, aby każdy powiedział, żeś szczęśliwa. Tymczasem konkurent starający się pierwiej zbadać twój posag niż serce, otrzymawszy go wraz z twoją ręką, dopnie już swego i choćby sam miał dwa razy tyle co wziął za tobie, wszystkie jego dalsze rachuby obracać się będą z pewnością w kole egoistycznych celów. O! moja Jadwisiu, mówię to i z tysiącznych przykładów i z własnego smutnego doświadczenia; tacy ludzie to są głazy, bez litości w sercu — a jest ich pełno koło nas i ofiar ich tyleż; tylko, że świat tego nie widzi, bo to schowane głęboko, a pozory usprawiedliwiające wywieszane jak szyldy na pokaz...

JADWIGA (niecierpliwie).

No, ale cóż ztąd za wnioski?

P. LEONOWA.

Że sprawa pana Jana powinna znaleźć poparcie w własnym twoim instynkcie; bo że cię kocha, niema wątpliwości, a to właśnie co cię niecierpliwi; ta jego drażliwość i niedowierzanie, przemawiają na jego korzyść. O! ja go pojmuję doskonale: serce to wyższe, nieocenione, czując że moralne rękojmie mało, niestety, mają wagi u ludzi, milczy i boi się kroku naprzód postąpić, aby nie być niesłusznie posądzonym. Spekulant byłby w tym razie natrętny, jemu przeciwnie, potrzeba zachęty, pewności...

JADWIGA (z wybuchem).

Mamże rzucić mu się na szyję i powiedzieć: weź mię za żonę, bo suchot dostanę!... (Miarkując się; z niechęcią) Najprzód, suchot nie dostanę, zaręczam ci; wyszły już z mody tak samo, jak miłość sentymentalna... jak Ludomiry i Malwiny.

P. LEONOWA.

Być może... ale znów dla tego, że on nie chce postępować lekko w tak ważnej sprawie, co bardzo dobre daje o nim wyobrażenie, ty lekkomyślnie gotowa jesteś przychylnie przyjąć natrętne zabiegi jakiegoś nieznanego ci, może z wyschlęm sercem egoisty...

JADWIGA.

Dla czegoż koniecznie posądzać go o egoizm?

P. LEONOWA.

Dopóki oczywistość nie przekona mię inaczej, muszę pozostać przy raz powziętem zdaniu. Chociaż to dziś podobne konkury są w modzie, jednak dla człowieka, który chce postępować w dobrej wierze i nie zobowiązywać się lekkomyślnie, pozostają jeszcze pewne odcienia. Jeżeli ktoś, zasłyszawszy o pannie, która mogłaby być stosowną dla niego partią, poweźmie myśl starania się o jej rękę, to jeżeli chce być w możności złożenia rachunku sumienia, z przyjętej na swoje barki najświętszej odpowiedzialności, stara się najprzód pod niebijacemi w oczy pozorami, nie przybierając charakteru, że tak powiem urzędowego, poznać duszę tej, którą pragnie mieć swą towarzy-

szką na całe życie. (Biorąc fotografię) Ten zaś zapowiada, obwołuje swoje przybycie, jak gdyby był pewny, że to już zapewni mu dobre przyjęcie!... albo, jak gdyby kobieta była rzeczą, z którą moralny stosunek nie potrzebuje go łączyć! (Ciskając fotografię o stół) Nie cierpię go, chociaż go jeszcze nie znam! (po chwili) Zresztą, wiesz co ci powiem w sekrecie? co wywnioskowałam z moich spostrzeżeń... tylko spostrzeżeń, ale ja rzadko się mylę... Ty kochasz Jasia... (Poruszenie Jadwigi) o! kochasz go...

JADWIGA.

Ja!... (śmieje się z przymusem) wyborna jesteś. Więc już nie można znaleźć kogoś przyjemnym, nie można pobawić się z nim swobodnie i zatęsknić nawet czasem w chwili nudy, aby tego nie nazwano miłością! Powiadam ci, że mylisz się najzupełniej; lubię go, i bardzo nawet, nie zapieram się tego, ale serce moje nie bije przy nim silniej, za to ci ręczę.

P. LEONOWA.

Najprzód, zmyślasz... (poruszenie Jadwigi) przepraszam za wyrażenie... a zresztą sama dziś możesz być w błędzie. Widujesz go bardzo często, bawicie się kiedy chcecie, wolno ci słuchać jego słów, przyjmować dowody jego zajęcia się... nikt nie może wziąć ci tego za złe. Ale gdy klamka zapadnie, gdy nie rozrachowawszy się wprzód z sobą, przyjmiesz zobowiązanie na resztę życia, i sumienie każe ci się wyrzec tego, co dotąd sprawiało ci przyjemność, luboś sobie sprawy z tego nie zdawała — gdy widząc jego głębokie spojrzenie zasnute mgłą żalu, wolno ci będzie co najwięcej rzucić mu słówko zimnej konwensownej grzeczności, wówczas...

JADWIGA (rozdrażniona).

Proszę cię, zmienmy przedmiot rozmowy.

P. LEONOWA (patrzy na nią długo).

Jak chcesz...

JADWIGA (po chwili; j. w.).

Zrobiłaś mi przyjacielską usługę... wprowadziłaś na cały dzień w humor najniegodziwszy... Przytem, niechcący, mogłaś popełnić niesprawiedliwość, nieznając jeszcze tego, którego już przedwcześnie malujesz w tak czarnych kolorach...

P. LEONOWA.

Powiedziałam ci już, na jakich podstawach mój sąd o nim opieram.

JADWIGA.

To jeszcze nie powód... (po chwili) Zresztą oboje mamy otwartą drogę do wycofania się, gdyby nam się to wydało stosownem... (Siadając z drugiej strony stołeczka i biorąc książkę) Przy puryzmie, jaki pod tym względem wyznajesz, kojarzenie się par stosownych dla siebie, byłoby niemożliwem.

P. LEONOWA (zimno).

Rób jak chcesz... (po chwili) Jaką suknię weźmiesz jutro?... (bierze drugą książkę).

JADWIGA (po chwili, przerzucając kartki bezmyślnie).

Nie myślałam jeszcze...

SCENA 2.

JADWIGA, PANI LEONOWA, LUDWIK (wchodzi drzwiami w głębi i spostrzegłszy obie kobiety, zatrzymuje się).

LUDWIK (n. s.).

Co za uroczyste milczenie!... literatura!... (Na palcach zbliża się ku nim i stanawszy za Jadwigą patrzy jej w książkę; nagle wybucha śmiechem) Ha! ha! ha!

JADWIGA (oglądając się i rzucając książkę na stół).

Zkądżeś się pan wziął, przestraszyłam się... (Ludwik ciągle się śmieje) Czego pan się śmiejesz?... Bardzo grzecznie!

LUDWIK (rzucając się na kanapę, ze śmiechem).

Nie wiedziałem, że panna Jadwiga umie czytać po chińsku...

P. LEONOWA.

Po chińsku?

JADWIGA (urazona).

Cóż znowu za concept?

LUDWIK.

A tak! do góry nogami... podobno Chińczycy tak piszą.

JADWIGA (zimno).

Nie rozumiem; przywidziało się coś panu... (Bierze napowrót książkę, p. Leonowa spogląda na nią uśmiechając się ukradkiem, poczem także udaje zajętą czytaniem; chwila milczenia).

LUDWIK (uważając je — n. s.).

Czy się pogniewały o co?... jakaś afektacja w tej lekturomanii... (Wstaje i zbliża się ku nim) Powiedźcie mi panie, zkąd ta nienormalność humorów?... zkąd ten dąs na usteczkach, które zdaje się stworzone na to tylko, aby kwitły wiecznie uśmiechem?... (Jadwiga niecierpliwi się) Zkąd ten giest, wprowadzie pełen powabu, ale tchnący niechęcią?... (Milczenie; innym tonem) Albo krócej, wytłómaczcie mi panie o co poszło? może będę tak szczęśliwy, że jako rozjemca... (po chwili) Milczenie?

P. LEONOWA (kładzie książkę na kolanach i patrzy na niego śmiejąc się).

Ha! ha! ha! Jakiś pan zabawny!

LUDWIK (poważnie).

To nie jest odpowiedź, a ja umieram z żądzy dowiedzenia się prawdy. (Spostrzegłszy na stole fotografię). Aha! mam klucz od zagadki! (Porywa ją) mam tego szczęśliwego śmiertelnika, który może ani się domyśla, że tu o niego staczają się walki.

JADWIGA (niekontenta).

Oddaj pan! proszę bardzo...

LUDWIK (usuwając się).

Niech go zobaczę... bo jakkolwiek domyślałam się po trosze, ale...

P. LEONOWA (prędko).

Wątpię bardzo... Osoba zupełnie nieznana, i dziwię się, że Jadwisia dopomina się zwrotu, tak jakby ją to obchodziło...

JADWIGA (pomiarkowawszy się).

To prawda... ale mogło to być coś takiego, że panu nie wolnoby było widzieć... Niedyskrecja zostaje zawsze niedyskrecją.

LUDWIK (odstąpiwszy parę kroków i oglądając fotografię).

Cóż to za lala?

P. LEONOWA (z uśmiechem).

Dla czegoż lala?

LUDWIK (przypatrując się).

Jakże pani chcesz, abym nazwał tę osobistość, która ma napisane na czole... a raczej na wąsikach w sznureczek skreconych i na misternym przepołowieniu głowy, że kilka godzin spędziła nad tem ważnem zajęciem, że napociła się co niemiara, nim doszła do tej pewności i wprawy, jaka bije w oczy z tego węzelka u krawatu... Mamże to nazwać człowiekiem? *Fi donc!*... Kładę ten okaz szanowny.—Ale któż to jest?

JADWIGA.

Trzeba było się spytać od razu, a nie miałbyś pan na sumieniu niesprawiedliwości, jaką może popełniłeś, sądząc zbyt pospiesznie nieznanomego.

LUDWIK.

Aj! do licha! (n. s.) Cóż to za dygnitarz? (głośno) Pani wie, że u mnie zbajać się, jak to mówią, to rzecz powszednia... (do p. Leonowej) Więc to jest?

P. LEONOWA (obojętnie).

Obywatel jeden z za Wisły... człowiek podobno bardzo porządny...

LUDWIK (idąc do stoliczka i przypatrując się fotografii).

Otworzyłaś mi pani oczy; że też to mi nie przyszło do głowy!... Wszak z jednych i tych samych danych, rozmaite wnioski dadzą się wysnuwać. Rzeczywiście, ubrany bardzo porządnie... szyk bije w oczy...

JADWIGA.

Nieznosny pan jesteś czasem...

LUDWIK.

Szczęście, że tylko czasem... (widząc zniecierpliwienie Jadvigi) Przez litość, darujcież mi już panie przewinienie... przepraszam najuroczyściej; gotów jestem nawet przeprosić tego jegomości, notabene, jeżeli się przekonam, że się omylił. Powiem mu: panie! sądy powierzchowne są zazwyczaj mylne; wnioskując o pana z pozoru, pozwoliłem sobie...

P. LEONOWA.

Przestańże już pan... cóż za przekora! (Chcąc odwrócić rozmowę) Oto, lepiejby było, gdybyś pan sobie

(Ciąg dalszy nastąpi).

przypomniał daną obietnicę, na której spełnienie czekałem napróżno przeszło od miesiąca... A, już przyznam się, że lenistwo nie do darowania...

JADWIGA (z przekąsem).

Wada wspólna większej części znakomitości literackich...

LUDWIK.

Złośliwość?

P. LEONOWA.

Na którą pan zasłużyłeś...

LUDWIK.

Niechże mi pani wytłumaczy za co, bo nic nie rozumiem...

P. LEONOWA.

Czy napisałeś mi pan obiecany wiersz do albumu?

LUDWIK.

A!... napiszę, ale daj mi pani chwilę czasu, bo obecnie jestem przeciążony pracą. Za to, jeżeli pani usposobione do słuchania, mogę przeczytać kilka wyjątków z Paprockiego, wyciągniętych umyślnie do drzewa genealogicznego, którem się zajmuję z urzędu... (Dobywa papiery i siada przy stole).

P. LEONOWA.

Nie ciekawśmy wcale tych mądrych rzeczy...

JADWIGA.

Kiedys pan tak wziął do serca to drzewo genealogiczne, jako poeta mógłbyś sobie dopomódz fantazją, a raz-by to się już skończyło.

LUDWIK.

A wie pani, jestto myśl, nad którą warto się zastanowić; i jeżeli tylko da się to pogodzić z zaufaniem, jakie pokłada we mnie pan sędzia... (Znalazszy potrzebne papiery) Mam zacząć?...

FRANCISZEK (we drzwiach w głębi).

Jaśnie pan prosi pana do siebie.

LUDWIK.

Masz tobie!... (Chowając papiery) Przypadek dopomógł paniom, bo inaczej nie darowałbym ani litery... (do Franciszka z powagą) Powiedz jaśnie panu, że pan zaraz idzie... (Do kobiety) Na drugi raz zamawiam sobie przychylniejsze ucho... (n. s. wychodząc) Intryguje mnie jednak ta fotografia.

JÓZEF BLIZIŃSKI.

KRZYSZTOF KOLUMB W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ.

(Ciąg dalszy).

II.

Dla wykształconych w wieku XIV-m, a zwłaszcza XV, było pewnem, że kształt ziemi, jak to już uczeni w starożytności wypowiadali, jest kulisty. Ocean tedy nie mógł się w nieskończoność gubić, jak to przy kształcie płaskim być musiało, tylko niezawodnie prowadził do przeciwległych wybrzeży Azji. Chodziło zatem o oznaczenie wielkości oddalenia tych wybrzeży. Jeżeli się dało obliczyć z pewnem prawdopodobieństwem, że odległość tę może okręcić, bez wyczerpania

zapasów przebyć, to w takim wypadku podróż taka nie była zbyt niebezpieczną. Tymczasem wymiary odległości wschodnich brzegów Azji od zachodnich Europy, które posiadał Kolumb i współcześni, były bardzo niepewne. Podług Ptolemeusza świat znany i zamieszkały od wysp Kanaryjskich, aż do wschodnich krańców Azji, miał długości 177 stopni geograficznych, a więc prawie połowę obwodu ziemskiego wynoszącego 360°, tak że potrzebaby było przebyć morzem 183° na zachód. Z obliczeniem tem zdawały się zga-



POMNIK KRZYSZTOFA KOLUMBA W GENUI
NA PLACU ACQUAVERDE.

dzać i opisy znanego podróżnika Marka Polo, który obszar Chin nadzwyczajnie zwiększał. Oprócz tego dopiero z pism wspomnianego podróżnika dowiedziano się nieco o archipelagu japońskim. Marco Polo na podstawie opowiadań krajowców podawał odległość tych wysp od wybrzeży chińskich na 1500 mil. Europejscy geografowie rozumieli przez to nie chińskie Li ($250 = 1^0$ na równiku) ale włoskie mile. Stąd poszło, że odległość Japonii, czyli jak zwano Cipangu, od stałego lądu, przedstawiano na mapach wielokrotnie powiększoną. Żeglarze zatem europejscy mogli się spodziewać, że przed przybyciem do Chin spotkają na drodze tę wyspę, która obiecywała być dogodnym miejscem wytchnienia w długiej podróży do brzegów chińskich. Droga ta doznała jeszcze bardziej skrócenia przez umieszczanie na wszystkich kartach średnich wieków bajecznej wyspy Antilii, która właśnie w środku między Europą a Chinami leżeć miała.

Prócz tych kart morskich i obliczeń odległości nieobojętne były dla Kolumba i dzieła geograficzne. Takim było dzieło kardynała z Cambray Pierre d'Ailly (czyli Piotr Alliacus) p. t. *«Imago mundi»* (Obraz świata), napisane około r. 1410, a wydrukowane wspaniale r. 1480. W dziele tem znalazł Kolumb zgromadzone zdania pisarzy greckich, rzymskich i arabskich, którzy utrzymywali, że wschodni brzeg Azji nie jest bardzo odległy od zachodniego brzegu Europy. Z dzieła tego zaczerpnął Kolumb cały zasób swej kosmograficznej wiedzy, mianowicie pojęcia, o wielkości lądu, a o niewielkich rozmiarach oceanu. Również znalazł on zachętę dla swego projektu w ówczesnych opowiadaniach marynarzy. Odkrycia Portugalczyków wywołały gorączkowe życie marynarzy, głuche wieści o istnieniu na dalekim zachodzie bogatych krajów. Autor znanej nam już biografii przytacza kilka takich. I tak opowiadał Kolumbowi portugalski pilot Marcin Vicente, że w odległości 450 hiszpańskich mil (leguas) od przylądka św. Wincetego (Cap S. Vicente) wydobył z wody kawał drzewa wyrzynanego, który kilka dni trwający wiatr zachodni sprowadził. Szwagier Kolumba, Pedro Correo, zarządca wyspy Porto Santo, donosił mu, że i na wybrzeżu tej wyspy znaleziono kawał drzewa, ze śladami ręki ludzkiej. Mieszkańcy wyspy Flores, jednej z wysp Azorskich, mieli znaleźć u brzegu dwa trupy o zupełnie obcych rysach. Jeden majtek przebywający na Maderze, opowiadał, że widział w odległości 100 mil od brzegu na zachodzie trzy wyspy. Tak samo miał jeden Portugalczyk zobaczyć w powrocie swym z wybrzeży Gwinei na Maderę jakiś nieznany kraj. Natomiast nader wątpliwą jest rzeczą, czy Kolumb wiedział o dawnych odkryciach Grenlandyi i lądu stałego Ameryki, albo o późniejszym odkryciu Ameryki, przez podróżnika polskiego Jana z Kolna¹⁾. Jan z Kolna (z łacińska Joannes Scolnus), miasteczka położonego na Mazowszu, w dzisiejszem Królestwie Polskiem, gubernii łomżyńskiej, na północy od Łomży, wysłany był w r. 1476 od króla duńskiego Chrystyana I w celu odnalezienia na nowo drogi do Grenlandyi; dotarł do wybrzeża Labradoru i cieśniny Hudsonskiej. Wyprawa ta jednak, chociaż wiadomość o niej z cza-

sem doszła do Hiszpanii i Portugalii, pozostała bez rozgłosu i wpływu.

Ostatecznie jednak rozstrzygnął o postanowieniu Kolumba współcześnie żyjący florentyński uczony Paweł Toscanelli. Paweł Toscanelli (ur. 1397 um. 1482) należał do najznakomitszych uczonych swego czasu. Jako doskonały znawca kosmografii powziął wcześniej myśl przedstawienia na karcie rozkładu lądu i morza. Wybrzeże zachodniej Europy, poczynawszy od Szkocyi na południe i Afryki aż do Gwinei przedstawili już wyraźnie biegli włoscy i katalońscy kartografowie. Chodziło teraz tylko o to, ażeby na podstawie otrzymanych wiadomości dać obraz wschodniego wybrzeża Azji. Podstawę do odtworzenia mogły mu dać opisy Marka Polo i drugiego młodszego podróżnika włoskiego Mikołaja de Conti (Nicolo de Conti). Mikołaj de Conti dotarł był w pierwszej połowie XV wieku do Indyi, zwiedził wyspy archipelagu sundajskiego i po dłuższym pobycie tamże powrócił do Europy. Tenże Conti złożył papieżowi Eugeniuszowi IV, który w latach 1439—1442 we Florencyi przebywał, sprawozdanie ze swej podróży i od niego zasięgał również wiadomości Toscanelli. Opowiadanie Conti'ego uzupełniały szczęśliwie opis Marka Polo; również i Contiemu wydały się kraje Azji daleko na wschód posunięte. Opierając się tedy na opisie Marka Pola i opowiadaniach Contiego przyszedł Toscanelli do przekonania, że rozciągłość Europy i Azji obejmuje $\frac{2}{3}$ całego obwodu ziemskiego t. j. 240^0 , tak, że na rozciągłość oceanu pozostałoby tylko 120^0 czyli $\frac{1}{3}$ całego obwodu. Podróż tedy do Indyi przez ocean w kierunku zachodnim—wnioskował dalej Toscanelli—nie mogła być dłuższą, niż podróż lądem, przez kraje azjatyckie, albo morzem naokoło Afryki. W duchu swych wniosków sporządził Toscanelli kartę oceanu Atlantyckiego z uwzględnieniem wybrzeży zachodniej Europy i Afryki i wschodniej Azji. Ponieważ dalej wiedział o usiłowaniach Portugalczyków opłynięcia Afryki i dotarcia morzem do Indyi, to sądził, że wyświadczy ważną usługę, jeżeli im wskaże krótszą drogę zachodnią. W tym celu napisał list do spowiednika króla portugalskiego Fernam Martinsa w Lizbonie z prośbą, aby zwrócił uwagę króla na jego myśl dotarcia do Indyi przez żeglugę w zachodnim kierunku. Do listu dołączył i odtworzoną przez siebie kartę oceanu Atlantyckiego. List ten z datą 25 czerwca 1474 r. zapewnia Toscanellemu niewątpliwie sławę pierwszeństwa myśli żeglugi do Indyi w zachodnim kierunku. Były i są wprawdzie usiłowania, zachowania oryginalności tej myśli Kolumbowi, przez twierdzenie, że Kolumb już przed r. 1474 powziął myśl żeglugi zachodniej niezależnie od Toscanellego. Twierdzenie to jednak z wielu względów ostać się nie może. Najpierw sposób życia i wykształcenia Kolumba przed r. 1474 nie przemawiają za tem; dopiero bowiem na czas pobytu w Portugalii przypadają jego głębsze studia, zajęcie się ówczesnymi odkryciami i jego własne podróże, tak niezbędne do powzięcia ważnej myśli. Tymczasem nie wiemy nawet na pewne, czy Kolumb w tymże r. 1474 był już w Portugalii. Z czasu pobytu w Portugalii jest tylko jedna data niewątpliwa, rok opuszczenia jej w 1484. Z późniejszych słów Kolumba, że przez 14 lat starał się o przyjęcie swego projektu u króla portugalskiego wynikałoby, że przybył już w r. 1470 do Portugalii. Tak jednak nie jest; zapiski urzędowe w Genui wymieniają go, jak już wspominaliśmy po raz ostatni w r. 1473, a więc najwcześniej-

¹⁾ Ob: Ruge Sophus, *Geschichte des Zeitalters der Entdeckungen*, Berlin 1881, str. 222. Czerny Franciszek, *O wpływie wielkich odkryć geograf. na Polskę i jej oświatę w XVI wieku*. Referat na zjazd im. Kochanowskiego.

sza data jego przybycia przypadłaby może dopiero na r. 1474. Gdyby Kolumb w tymże roku był w posiadaniu tego projektu, byłby z nim wystąpił przed królem, jak to później w istocie uczynił. Dopiero tedy w kilka lat później po studyach i podróżach, wobec odkryć i opowiadań mógł Kolumb wpaść na tę samą myśl, a wtedy usłyszał o istnieniu listu Toscanellego. Wówczas zwrócił się do niego z prośbą o przysłanie mu treści tego pisma. List Kolumba nie jest nam znany; znana jest tylko odpowiedź Toscanellego i to nie w formie autentycznej, tylko w kopii, podanej przez autora wymienionej już biografii, gdzie tenże, przez wtręty starał się czas pisanego listu posunąć wstecz, aby pierwszeństwo myśli żeglugi zachodniej Kolumbowi przypisać. Z brzmienia odpowiedzi wynika, że była pisana po r. 1479 i że tedy i list Kolumba najwcześniej do r. 1480 odnieść można. Do odpowiedzi dołączył Toscanelli odpis listu pisanego w r. 1474 do Fernam Martinsa a zarazem i kopią przesłanej karty. Jeszcze raz udał się Kolumb z zapytaniem i otrzymał ponownie list pełen zachęty i uznania. Wymiana tych pism była dla niego bardzo ważna, dopiero pod wpływem korespondencji z Toscanellim, jak to możemy śmiało twierdzić, dojrzał właściwy projekt żeglugi. W najważniejszym liście¹⁾ — odpisie listu z r. 1474, pisanego przez Toscanellego do Fernam Martinsa — była żegluga na zachód w tekście i na karcie tak dokładnie oznaczona, że każdy żeglarz mógł bezpiecznie sterować. Tej karty używał też Kolumb podczas swej pierwszej podróży i w niej pokładał niezachwianą ufność. Oryginał karty Toscanellego zaginął, ale kopię możnaby — z pewnem prawdopodobieństwem słuszności — wskazać. Około tego czasu, kiedy Kolumb opuścił Portugalię przybył tamże Marcin Behaim z Norymbergii. Behaim wziął udział w wyprawie na wybrzeże zachodnie Afryki, a po powrocie swym do Portugalii otrzymał szlachectwo i został członkiem rady najwyższej, której zadaniem było kierowanie wyprawami morskimi. Na tem stanowisku miał Marcin Behaim sposobność przejrzenia wszystkich pism i kart odnoszących się do żeglugi, złożonych

¹⁾ List ten był po łacinie pisany i zachował się nam w kopii sporządzonej przez Krzysztofa Kolumba, albo brata tegoż Bartłomieja, i znajduje się obecnie w Kolumbijskiej bibliotece w Sewilli. Wynalezienie i ogłoszenie tego listu jest zasługą H. HARRISSE.

w archiwum państwa, a między temi była bezwątpienia i karta Toscanellego. W r. 1492 podczas odwiedzin swego miasta rodzinnego Norymbergii, wykonał na prośbę rady miejskiej globus, najdawniejszy, jaki się zachował. Na nim Ameryki jeszcze nie ma, wybrzeże zachodniej Europy i wschodniej Azji, oddzielone oceanem, przedstawione jest po raz pierwszy na jednym obrazie. Behaim wykonał to bezwątpienia podług karty Toscanellego. Wskazówkę bowiem pod tym względem daje nam znany list Toscanellego z r. 1474, który służył do objaśnienia dołączonej karty; szczegóły zaś zawarte w liście zgadzają się z przedstawieniem lądu na globusie Behaima. Możemy tedy zaginioną kartę Toscanellego zastąpić niejako globusem Behaima.

Na karcie tedy tej umieszczoną była fantastyczna Antilia, tuż przed tem miejscem, gdzie są wyspy Antylskie, wyspy Japońskie w miejscu zatoki Kalifornijskiej, a wschodnie wybrzeże Azji niewiele za kontynentem amerykańskim. Mógł się więc spodziewać, że do tej podróży nie będzie potrzebował zbyt długiego czasu. Co osiągnąć zamyslał, było w gruncie rzeczy tylko złudzeniem, ale takie złudzenie, które odległość Europy od Azji więcej niż o połowę skracало, było potrzebne, aby wszystkie wątpliwości przeciw podróży usunąć i bezwątpienia byłby się Kolumb zawahał, gdyby mu całe rzeczywiste oddalenie było znane.

Z takim planem wystąpił prawdopodobnie w r. 1483 w Lizbonie, przed królem portugalskim, Janem II, i prosił o poparcie. Król złożył go komisji składającej się z trzech mężów, a orzeczenie tychże wypadło dla Kolumba niekorzystnie. Tego jednak orzeczenia potępiać lekkomyślnie nam nie wolno. Projekt Kolumba wykazywał wiele słabych stron, których wykrycie nie trudnem było dla komisji; wydał się on w ogóle zbyt fantastyczny, a wobec tego królewscy doradcy mogli się tem mniej za nim oświadczyć, że odkrycia na wybrzeżu afrykańskim szczęśliwie postępowały i że była wszelka nadzieja rychłego dotarcia do Indyj przez opłynięcie Afryki; szukanie zaś nowej drogi w kierunku zachodnim rozdzieliłoby tylko siły państwa. Te ważne względy rozstrzygły ostatecznie o odrzuceniu projektu.

WALERYAN HECK.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Niezadowolenie przeniosło się z ulicy do sejmu. Sam Morstin trwożył się widocznie o swoje losy, gdyż z osobna Janowi z osobna Maryi Kazimierze obiecywał niewiadomej wysokości kwotę za uśmierzenie skandalu¹⁾. Nawet zwykle dosyć zaściankowi Prusacy zanosili się od gniewu na »generale« w Grudziążu i nakazali żądać deputatom swoim, aby Morstin przedstawił dokładny rachunek z ambasady i oczyścił się z rozsiewanych o nim wieści²⁾. Zawrzało w kole rycerskiem 21 stycznia, pierwsi Wołyniacy domagali się

sprawozdania; w tydzień potem kiedy podskarbi wotował, przeczo mu głosu jako zagranicznemu poddanemu. Jedni chcieli aby milczał, drudzy ponowili wołania o relację z poselstwa; arbitrowie przeraźliwym stukiem dzielnie zwiększali ogólny zamęt. Zaledwie kilku senatorów z Grzymułtowskim i Sapiehami na czele uspokoili umysły; Morstin mógł dalej wotować. Gdy na porządku dziennym 8 i 9 lutego rozważano materję deputacyj, znowu nasamprzód Wołyniacy żądali, aby Morstin zaprzysiągł sprawozdanie za nim przystąpi do czytania, ale niektóre województwa oponowały. Kłótnia rozkołysała popleczników i wrogów wniosku; skończyło się na zawieszeniu posiedzenia. Nareszcie 14 lutego wybiła wyczekiwana godzina

¹⁾ A. h. P. T. VII. str. 91. Ambasadorowie do Ludwika XIV.

²⁾ Leignich: Geschichte der preussischen Lande etc. T. VIII. str. 207.

Przed połączonemi izbami składał Morstin sprawozdanie, które zaprzysiągł, a przez to miało ono mieć znaczenie dowodowe. Rozpoczął od naszkicowania rokowań w Paryżu i wychwalania osiągniętych rezultatów, a załatwiwszy się z ambasadą uniewinnił się z potwarczych plotek. Co powiedział, było rozszerzonym echem obrony dla ulicy zredagowanej. Przeczył następnie, posilkując się przykładami, jakoby zawinił nabywając »kawałek fortuny« we Francyi, a nabył go godziwie, nie plamiąc się ani kwartnikiem cudzego mienia, za pieniądze zebrane z intrat dóbr dziedzicznych i starostw, których na sto tysięcy złotych polskich posiadał jeszcze przed otrzymaniem podskarbstwa, tudzież za pieniądze zaoszczędzone z dochodów urzędu swego, osobiście z »workowego« od wojska, któremu kilkadziesiąt milionów już rozszafował. Co do kupna majątku ziemskiego, jak objaśniał, nie zawarł kontraktu ponad możliwość, gdyż gotówką tylko sto tysięcy talarów wypłacił, a interes ogółem załatwił przez przejęcie długów ciężących na dobrach ¹⁾. O sekretaryat, godność tytularną bez donioślejszego znaczenia postarał się wyłącznie »honesti doli causa«, aby się zwolnić od uiszczenia wielkiego podatku do skarbu francuskiego. Nie spodziewał się, aby drobnostka obrażała lub raziła kogoś, a skoro przeciwnie się stało, kazał sprzedać sekretaryat i przypuszczał, że już musiał być sprzedany. Morstin wyraził na ostatku zdziwienie, że gromy spadają nań nagle i wbrew wszelkim rachubom, albowiem na odjeździe do Paryża zwierzył się w Gdańsku królowi, iż we Francyi dobra targować zamyslił ²⁾. Tłómaczenie nie wiele skutkowało, szmery nie przycichły, szczęściem dla podskarbiego zamążpójście księżniczki Radziwiłłówny zepchnęło na ubocze jego sprawę.

Już sejm oświadczył się za wojną turecką, już liga z Moskwą zdawała się być czynem prawie dokonanym, gdy po upływie upragnionej zwłoki i wskutek tego po zmniejszeniu się zawziętości wysokiej Porty, zapieczętowała Moskwa kilkoletnie zatargi z sułtanem traktatem w Radzynie 11 lutego 1681 roku, stanowczo korzystnym dla cara ³⁾. Polityka stronnictwa dworskiego doznała przez to porażki, która wkrótce

w klęskę się zmieniła, a powodem bezpośrednim tej klęski była nienawiść względem elektora. Margrabia Ludwik syn Fryderyka Wilhelma poślubił z niezwykłym pośpiechem Karolinę Radziwiłłównę, dziedziczkę olbrzymiej fortuny na Litwie, albowiem na sejmie miano zgotować konstytucję przeciw małżeństwu. Szlachta oburzyła się ogromnie, niektóre głosy wskazywały większą potrzebę i korzyść w odebraniu Prus książęcych niż w zwalczaniu osmańskiej potęgi. Ujmowali się za kurfirstem w senacie Grzymułtowski, w kole rycerskim Przyjemski, starosta międzyrzecki, i Łoś Władysław stolnik płocki ⁴⁾; nie możliwym było zgoda nad czemkolwiek radzić, aby nie zawadzono o żaloby na Morstina lub elektora. Sejm roku 1681 był »istnym Proteuszem przez swoje zmiany nieustanne« jak dosadnie wysłowił się des Noyers ⁵⁾. Chaos niezmierny panował; co komu na myśl przyszło

wywlekał, kontuszowa swada dla swady rozlegała się po sali, a najważniejsze zagadnienia polityczne i społeczne w postaci łodzi, to za jedną to za drugą krawędź szarpanej, to przez prywatę Morstina, to przez chciwość elektora i kupionych jego popleczników, unosily się chwilowo na niepewnej powierzchni obrad, potem wpadały niby do wody i tonęły. Dzięki tej nieścisłości wyłoniły się znowu zamilkłe skargi na Morstina 3 marca; dopraszano się wzięcia go »in censuram«; najdrażliwsze jednak sceny rozegrały się z okazji składania rachunków przez deputację do skarbu wyznaczoną. Kiedy biskup łucki w imieniu deputacji składał sprawozdanie, uskarżano się na roztrwonienie pieniędzy na legacye, pod niebo wynoszono nieboszczyka podkanclerzego Radziwiłła, że z własnej kieszeni pokrywał wydatki na jazdę do stolicy apostol-

skiej, do Wenecyi i cesarza — i przez analogię chciano zmusić Morstina do podobnej szczodroblowości, do zwrócenia dziesięciu tysięcy dukatów na cele ambasad ze skarbu wziętych. Nic jednakże nie postanowiono w tej kwestyi, która miała zostać podzwonnem na teraz dla kłopotów Morstina, gdyż 12 kwietnia Przyjemski, starosta międzyrzecki, poseł kaliski odebrał sejmowi »activitatem«, podając za powód tego kroku uchwalenie nieznośnych podatków, które skazywałyby ludność na nędzę, głód i ubóstwo ⁶⁾. — Po proteście spierano się zawzięcie o osobistość, ukrywającą się pod firmą zrywacza. Cień padł naprzód na Grzymułtowskiego, bo widziano, jak poseł kaliski jego



KRZYSZTOF KOLUMB.

(PODŁUG PORTRETU NALEŻĄCEGO DO MIASTA GENUI).

¹⁾ Lengnich: Geschichte. etc. T. VIII. str. 207. — Według Lengnicha miał Morstin oznaczyć sumę szacunkową kupionych dóbr na 130.000 talarów, co się niezgadza z prawdą.

²⁾ Archiwum XX. Czartoryskich. Teka Naruszewicza. nr. 178. rkp. »Dyaryusz sejmku sześciogodzinny warszawskiego r. 1681.« — Przebieg scen sejmowych opowiedziany według tego dyaryusza. Uzupełnienia zaczerpnięte ze skąpych wiadomości w »Theatrum Europaeum.« T. XII. str. 322. sq.

³⁾ Zinkeisen: Geschichte des osmanischen Reiches in Europa. T. V. str. 86.

⁴⁾ Helcel: O dwukrotnem zamęczeniu ks. Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny. etc. str. 23. sq.

⁵⁾ Nabelak: listy Piotra des Noyers. str. 54.

⁶⁾ Ostrowski-Danekowicz: Swada polska i łacińska. T. I. str. 169, 170. Mowa Przyjemskiego.

końmi umykał w stronę Pragi. Dwór wraz z rezydentem cesarskim przypisywał winę intrydze francuskiej, a na dowód przytaczał, że starosta międzyrzecki był muszkietierem Ludwika i powiernikiem de Béthune'a. W istocie sprzeczności łatwo dawały się pogodzić. Przyjemski, figura licha, pospolity okaz pieniacza i sejmowego straszdyła, lubił łowić pieniądze gdzie się udało¹⁾. Przekupił go wojewoda poznański, przyjaciel elektora, w obawie, aby nie powzięto czegoś przeciw majątkom Radziwiłłówny lub nawet samemu Fryderykowi Wilhelmowi²⁾, przekupił go i Morstin prezentem trzech tysięcy dukatów na polecenie ambasadorów wypłaconych³⁾. Jeżeli Morstin płacił za Francję, płacił zarazem i za siebie, sejm bowiem był zmienniejszy niż wiatr jesienny; dziś kłócono się o exorbitancję i skarb, jutro o moskiewski alians, pojutrze o coś zupełnie innego; któż zatem potrafił ręczyć, że jego sprawa nie doczeka się świeżej kolei losu, nie będzie — to pod tym, to pod owym pozorem — na powrót wywleczona. W każdym razie biskup belowaceński i markiz de Vitry już po krótkim pobycie w Rzeczypospolitej przygotowani, jak zauważyliśmy, na zerwanie sejmu, musieli być zadowoleni z rezultatu; liga nie doszła do skutku, a oni sami nie stracili wiele na dobrej reputacji, nie potrzebowali wyłącznie dźwigać odpowiedzialności za protest, społeczeństwo nadal dzieliło się w zdaniach i zapatrywaniu w sprawie odgadnięcia osobistości, która starostę międzyrzeckiego do szkodliwego skłoniła czynu.

Król Jan okazał w ciągu tych wydarzeń dziwną miękkość i niezaradność. Zamiast starać się o ułatwienie ideałom swoim politycznym drogi do swobodnego pochodu, przyczynił się wraz z żoną do zakłócenia sejmu przez podburzanie przeciw Morstinowi; zamiast po rozszerzeniu się wrzawy dążyć energicznie do rozstrzygnięcia winy lub niewinności podskarbiego, z pomocą chętnej wojnie tureckiej izby poselskiej, spokojnie przypatrywał się rozwojowi gmatwaniny, niczem i nigdzie na jej ukrócenie nie wpływając. I w drugiej równorzędnej sprawie Radziwiłłówny doszczętnie Jan abdykował; przyrzekł nawet ubezpieczyć dobra księżniczki konstytucją, gdy mu rezydent brandenburski Owerbeck czterdzieści tysięcy talarów za ustępstwo gotówką wyliczył i kwitem Fryderyka Wilhelma zaręczył, że margrabia Ludwik nie będzie się nigdy z królewiczem Jakóbem

współubiegać o koronę polską⁴⁾. Biorąc pieniądze od wasala, lennika przedostatniego jeszcze na tronie Rzeczypospolitej swego poprzednika, czyż cofnął rękę przed podarkiem poddanego? Niestety nie wiemy czy król przyjął, czy odrzucił ofiarę Morstina. Jakkolwiek

Jan działał, silnie odczuł i odczekał smutny wynik sejmu, a ta boleść przejawiała się wydatnie na posejmowym zgromadzeniu senatu dnia 1 maja, gdy żegnając się na razie z swojemi zamysłami w gorzkiej ironii polecał dumę z serca zepchnąć, iść z prośbą o miłosierdzie do nieprzyjaciela i zjednać upominkami Tatarów, gdy — biblijnem natchniony namaszczeniem — przed sąd ostateczny zapożywał zrywaczy i niemniej boleśnie lamentował niż Jeremi nad utratą prawie zawotowanych wojsk, i nad wydarciem czekającej go sławy, gdy w rozpacz człowieka ciężko cierpiącego wykrzyknął za Augustem: »Varre, Varre, redde mihi meas legiones!«⁵⁾ Tymczasem minęła dogodna pora dla ludów chrześcijańskich do pokonania Osmanów; na zachodzie zламаł Ludwik punktacye nimwęgskie przez »chambres de réunion«; na wschodzie, tuż przy granicy Rzeczypospolitej, w Węgrzech, po nieudalym sejmie edenburskim, Tököly »król Kuru-czów« — na spółkę z tureckimi baszami serbskich paszalików, zagroził cesarstwu; a w Polsce od czasu do czasu rozbrzmiewało wołanie: »proxima paries ardet!«

III.

Epilog ambasady Morstina. — Żądanie szlachty sandomierskiej. — Mandaty. — Odpowiedź senatorów. — Podskarbi i Markiz de Vitry. — Depesze do Wersalu. — Zabiegi francuskie w Węgrzech. — Protest Zierowsky'ego. — Odjazd du Vernay'a. — Przestrogi Morstina. — Milczenie króla Jana.

Pomimo wysłuchania zaprzysiężonego sprawozdania z ambasady, społeczeństwo nie wiedziało z jakiego stanowiska zapatrywać się należy na sprawę Morstina; część uwa-

żała rzecz za załatwioną, część narzekała na bezład sejmowy, część — i to najmniejsza — opierając się na wykonanym zwyczaju, że protest niweczy i znosi wszystkie zapadłe przed zerwaniem uchwały, rada by-

ła wskrzesić całe dochodzenie. Województwo sandomierskie uczepiwszy się ostatniej zasady wyznaczyło z sejmiku złożonego 9 grudnia dwóch delegatów Kazimierza Ligęzę, kasztelanica czechowskiego, i Benedykta Żórawskiego, którzy stanawszy przed królem żądali wydania z kancelaryi koronnej mandatów na podskarbiego. Jan, zasłaniając się prawem, które do-



POMNIK KRZYSZTOFA KOLUMBA W BARCELONIE

W MIEJSCU W KTÓREM WYLĄDOWAŁ PO PIERWSZEJ PODRÓŻY SWEJ DO AMERYKI.

¹⁾ A. h. P. T. VII. str. 141. sq.

²⁾ Jabłonowski Aleksander: Źródła dziejowe. T. I. »Krzysztofa Grzymułtowskiego mowy i listy.« Żywot. str. 66 i 69.

³⁾ A. h. P. T. VII. str. 157. sq.

⁴⁾ Puffendorf: Res gestae Friderici Vilhelmi Magni. lib. XVIII. §. 28, 29. str. 1411, 1412.

⁵⁾ Ostrowski-Danekowicz. l. c. str. 169. »Mowa króla«.

zwało wystosować pozew dopiero po zgodzie senatu, dziwił się gorliwości Sandomierzan, — dziwił się, bo jak mu się zdawało zaprzysiężona relacja wystarczająca stanowiła akt dowodowy. Deputaci niezrażeni niechęcią króla, na ponownym posłuchaniu wyprosili rozesłanie piśmiennego zapytania do senatorów. Opatrzona datą 22 stycznia 1682 roku rozbiegły się listy okolne z Jaworowa. Król, nie narzucając nikomu własnych sądów, przedmiotowe zajął w listach stanowisko; zalecał jedynie sumiennosc i dojrzałość w rozważaniu kwestyi ze względu, iż zarówno przyzwolenie jak i odmowa mandatów nastroczały obawę zatrudnienia przyszłego sejmiku i skazania go na niepowodzenie¹⁾. Kiedy posłowie ziemi sandomierskiej przybyli do stolicy, Morstin już zajechał do Krakowa w gronie komisji, mającej się zatrudnić rewizją archiwum skarbu koronnego²⁾. Zaledwie opuścił Warszawę, jakiś »sfabrykowany artykuł« wymierzony przeciw jego osobie krążył po bruku, aż sam król musiał wziąć w opiekę deptaną cześć nieobecnego³⁾. Morstin dowiedziawszy się o artykule i poselstwie Ligęzy i Żorawskiego dopatrzył się w niespodziewanym wypadku ukrytej ręki podstępного wroga, która na ścieżaj »otwierała okienko« dla przewietrzenia kosztem jego honoru złej sławy zrywaczów⁴⁾. Obawa zakradła się do serca jego i usidliła umysł. Zwierając się przed Stanisławem Szczuką, naówczas podczaszym wiskim, z doznanej przykrości, odwoływał się do wyrozumienia i rozsądku króla: »gdyby łaska Jego Król. Mości była, jest campus skończyć wszystko dobrą deklaracją po responsach; ale jej ufam przy mojej niewinności albo winie nie tak wielkiej et atroci, ale i za aseku-racją waszmość mego miłościwego pana«. Oddawał się zatem Morstin nadziei, że »Pan dobry ponderabit non numerabit vota«. Równocześnie sam lub przez Szczukę prosił listownie senatorów, aby korzystnie dla niego rozstrzygnęli, a za pomocą wojewody ruskiego Jabłonowskiego kazał mieć się na baczności markizowi de Vitry i pouczyć go w »czem potrzeba«⁵⁾. Wota napłynęły do kancelaryi królewskiej w krótkich odstępach czasu po sobie. Biskup krakowski Małachowski ostro zganił samowolne zachcianki Sandomierzan i nie radził oddawać rzeczpospolitej na igraszkę kilkuset ludzi, na igraszkę roznieconą na ruinie »zasłużonego obywatela«. Inni senatorowie ze względu na groźną przyszłość od strony tureckiej i konieczność

zwołania sejmiku »extra cadentiam« w razie wydania mandatów, oświadczyli się za poświęceniem żądań województwa sandomierskiego. Znalazła się i drobna garstka zwolenników pozwu, między innymi kasztelan krakowski Dymitr książę Wiśniowiecki i wojewoda mazowiecki Wojciech Krasinski¹⁾. Morstin tłómaczył zawziętość księcia uprzedzeniem pochodzącem z »wiadomego miecha« i rankorem z powodu niespłacenia należnej mu ze skarbu likwidacyi. Bojaźń i niepewność dręczyły w tych chwilach oczekiwania jego duszę, a troska pchnęła go zaraz po powrocie do stolicy na posłuchanie do Jaworowa, gdzie u stóp króla dopraszał się oredownictwa²⁾. Na każdym kroku sprawy podskarbiego wycisnęły ślady spółdziałania swego obaj Szczukowie, Kazimierz, opat paradyżki, i Stanisław, późniejszy podkanclerzy koronny. Szczukowie wieszali się u klamek dworu, pośredniczyli między królem a Morstinem; ksiądz opat zachęcał nawet Stanisława do wysługiwania się »przezornemu« i »wielkiemu« człowiekowi, gdyż zdobędzie się na uiszczenie długu wdzięczności jeżeli nie z własnych funduszy to z publicznej krescencyi³⁾. Podczaszy czy to pod wpływem doświadczonej rady krewniaka, czy z innych powodów został w istocie gorliwym rzecznikiem Morstina, który z jego pomocą dostawał kopie listów nadesłanych do kancelaryi królewskiej w sprawie mandatów⁴⁾. W rezultacie okazało się jak płonna była obawa, klęska Sandomierzan była nadto oczywistą, trzydzieści głosów oświadczyło się przeciw ich życzeniu, ośm zaledwie im sprzyjało⁵⁾. Wynik ten zadowolił niewątpliwie króla, który nosząc się już z pewnemi zamiarami na przyszłość, pragnął uniknąć wszystkiego, co szkodziłoby na tok najbliższego sejmiku mogło oddziaływać.

¹⁾ Znamy 13 odpowiedzi z teki Naruszewicza nr. 179. i kodeksu nr. 419. archiw. XX. Czartorys. — Odpowiedź Grzymułtowskiego wydrukowana w tomie drugim »Źródeł do dziejów Polski« Malinowskiego, Grabowskiego, Przezdzieckiego, str. 362.

²⁾ Teki Szczuki. Vol. 7. nr. 169. Jak dalece Morstin śledził i interesował się odpowiedziami senatorów niechaj posłuży wyjątek z listu do Stanisława Szczuki z 13 lutego 1682. (Teki Szczuki. Vol. 8. nr. 293). »Doszło mi tu wiedzieć już od kilkunastu senatorów, że in favorem mei piszą i Imci ksiądz kujawski (Małaliński Bonawentura) swój excusat, ale drudzy acius piszą niżbym był prosił gdyby się byli radzili. Każdy ma suum sensum, swoją bojaźń, swój interes i swoją perspektywę, która variat obiecta.« — Pragniemy zauważyć na tem miejscu, że Świdzki (str. 904) mając ten sam co i my pod ręką list, mylnie odniósł frazes o niechęci z »wiadomego miecha« do Stanisława Herakliusza Lubomirskiego. Wprawdzie Morstin wyraził się ogólnikowo »o księciu...« ale o ile nam wiadomo Lubomirskiego nigdy tak nie tytułował. Z listu opata Szczuki wynika, że likwidacya i zwrot o miechu wiązały się z osobą Wiśniowieckiego Dymitra: »*princeps senatus secularis nigrum calculum dedit illi (Morstinowi), quia magnis praetensionibus satisfacere non sufficiebant strictiores rationes thesauri.*« (Teki Szczuki. Vol. 7. nr. 169.).

³⁾ Teki Szczuki. Vol. 7 nr. 61. d. 23 stycznia 1682 r. List K. Szczuki do Stanisława.

⁴⁾ Tamże. Vol. 8. nr. 299. d. 27 marca 1682. List Morstina do Szczuki.

⁵⁾ Theatrum Europaeum. T. XII. str. 435.

ERNEST DEICHES.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GUY DE MAUPASSANT.

Literatura francuska straciła w Guy de Maupassancie wielkiego powieściopisarza-realistę, realistę w całym znaczeniu tego wyrazu, który tak żywo i malowniczo odtwarzał świat rzeczywisty, iż niewiadomo, co nas ku niemu pociąga, czy jego sztuka, czy też prawda przezeń uchwycona. Maupassant urodził się

w 1850 r. w Fécamp, w Normandii. Kształcił się w kolegium w Yvetot, a następnie w liceum w Rouen. Mając lat dwadzieścia, został urzędnikiem w jednym z ministerjów. W tymże czasie zaczęły się ukazywać w druku jego wiersze, tworzone podług wzorów »parnasistów«, które zebrane razem i zatytułowane: »Des

Vers» wyszły później w jednym tomie w bibliotece Charpentiera. Pierwsze powodzenie zdobył Maupassant urywkiem zatytułowanym *«Les Lavandières»*, drukowanym w *République des lettres* Catulle Mendèsa. Był to wówczas bojowy okres naturalizmu. Guy de Maupassant stanął wśród szeregów nowego kierunku literackiego i zajął miejsce w plejadzie młodych pisarzy zgrupowanych około Emila Zoli. Ażeby zaznaczyć publiczność z młodeymi talentami, rozwijającymi się pod jego kierownictwem, autor Rougon-Macquartów wydał zbiór złożony z sześciu nowel (Zola, Maupassant, Céard, Paweł Alexis, Hennique i Huysmans) p. t. *«Les Soirées de Médan»*. Nowela Maupassanta *«Boule de Suif»*, najlepsza z całego zbioru — prawdziwe arcydzieło pełne uczucia, ironii i siły — wielki zjednała rozgłos autorowi¹⁾.

Od chwili napisania *Boule de Suif* Maupassant tworzył obficie, z siłą mistrzowską, zadziwiającą. Nowele najrozmaitsze, pełne doskonałości, będące rodzajem drobnych komedij i dramatów, wysnuwały się jedna za drugą z pod jego pióra. Publiczność rozchwytywała je, czytała, śmiała się, płakała, zastanawiała się nad nimi i znowu je odczytywała. Nowele te wyszły zbiorowo w tomach noszących tytuły: *«La Maison Tellier»*, *«Sœurs Rondoli»*, *«Contes de la Bécasse»*, *«Toine»*, *«Miss Harriett»*, *«Horla»*, oraz kilka jeszcze innych. Maupassant rozszerzył wkrótce ramy swej twórczości, wziął się do pisania powieści. *«Une Vie»*, *«Bel-Ami»*, *«Mont-Oriol»*, *«Yvette»*, *«Pierre et Jean»*, *«Fort comme la Mort»* i wreszcie *«Notre Coeur»*; — to obrazy życia całkowite, nakreślone świetnie, szczerze, ze spokojem, podbijające wszystkich czytelników. Trzy ostatnie szczególnie powieści odznaczają się prawdziwą pięknnością klasyczną i wielkością nieporównaną.

Guy de Maupassant uznawał się za ucznia Gustawa Flauberta, właściwie zaś był uczniem natury. Był to umysł nadzwyczaj obiektywny, Odrywał on od rzeczywistości przesuwającej się przed jego oczami pewne jej części, mające pewną wspólność, pewien ośrodek, mogące stanowić całość obrazową. Maupassant nie czytywał książek; otaczająca go rzeczywistość jedyną stanowiła dlań księgę, z której czerpał swe wiadomości. W powieściach jego niema cytat, ani refleksyj. Pokazuje nam życie człowieka takim, jakim jest ono w rzeczywistości, z nieszczęściami jego, złudzeniami, smutkami i radościami, słowem życie prawdziwe, tam zaś, gdzie jest prawda, tam wszelkie rozumowania na temat moralności są zbyteczne, dzieje życia bowiem same do nas przemawiają, same budzą w nas te lub inne dążności moralne. Maupassant odtwarza to tylko, co widzi; nie stara się widzieć więcej, nie stara się obserwować rzeczywistości w sposób jakiś specjalny, z powziętą z góry myślą, gdyż nie chce jej zepsuć, nie chce jej przeinaczyć przez swój subiektywizm. Natura zapytywana nie daje odpowiedzi samorzutnych, ale przygotowane przez samego pytającego. Mówi ona nam w takich razach to, co chcemy od niej usłyszeć. Ażeby poznać myśl człowieka potrzeba ją schwytać w jej samorzutności, nie zaś czekać, aż pozwoli nam się uchwycić. Ażeby poznać naturę, potrzeba ją również chwycić w locie. Utwory Maupassanta to obrazy otaczającej go rzeczywistości, obrazy towarzyszące jego życiu. W pierwszych swych

nowelach obrazuje Normandję, gdzie się urodził i wychował; — odtwarza chłopów, rybaków i szynkarzy normandzkich. Zostawszy Paryżaninem, styka się ze światem literackim i dziennikarskim i pisze wówczas powieść *«Bel-Ami»*. Będąc urzędnikiem w ministerium, pisze *«l'Héritage»*. Podróż w góry dostarcza mu materiału do powieści *«Mont-Oriol»*. Z Włoch przywozi nowelę *«Sœurs Rondoli»*. Artysty i kobiety światowe dają mu obrazy do powieści *«Fort comme la Mort»* i *«Notre Coeur»*; półswiatek do *«Yvette»*.

Maupassant nie wprowadza nigdzie swego *ja*; w opowiadaniach jego niema żadnego subiektywizmu, ani sympatii, ani antypatii, ani podziwu, ani pogardy. Nie napada on na swych bohaterów, ani ich broni, ale maluje ich tylko pod naciskiem obrazów rzeczywistości, gromadzących się i organizujących w jego umyśle. Pisarz tak bezosobowy nie mógł mieć własnego stylu w swych utworach, styl bowiem jest cechą ujawniającą wewnętrzną naturę autora, jest rzeczą najwięcej osobistą u pisarza. Styl pism Maupassanta to styl obrazowanej przezeń rzeczywistości, styl osób i rzeczy w grę wchodzących. Nie Maupassant ale rzeczywistość przemawia do nas w jego utworach, sama mówi za siebie, swoim stylem, swoim sposobem istnienia, dla tego też rozpoznajemy ją z taką łatwością. Sposób przedstawienia danego przedmiotu jest u Maupassanta sposobem istnienia owego przedmiotu; autor jednoczy się swą osobowością z przedmiotem przez siebie opisywanym. Jestto szczyt sztuki.

Maupassant malował społeczeństwo średnich wad i zalet, średnich namiętności. Krańcowości nie nadają się do literatury realistycznej, nie dają bowiem wrażenia prawdy realnej. Drobne intrygi i awantury, drobne interesy były przedmiotem jego obrazów. Dał on nam, nie myśląc bynajmniej o tem dość bliską prawdę statystykę wad ludzkich: mało ludzi złych, dużo słabych, bardzo wiele egoistów. Egoizm i brak zdrowego rozsądku górują w powieściach Maupassanta, górują one również i w ludzkości. Realizm tego rodzaju jak realizm Guy de Maupassanta wyklucza wszelką ideowość. Spostrzeżenia nasze zależą zwykle od naszych pojęć ogólnych, ustalonych, są one materiałem, z którego korzystają owe pojęcia, by się na nim oprzeć, by się utrwalić więcej jeszcze. Balzac i Zola obserwują pod wpływem swych pojęć ogólnych, jakie mają o ludzkości. U Maupassanta spostrzeżenia są niezależne, żadne pojęcia ogólne nie przerabiają ich, bo pojęć takich ujawniających się w sposób wyraźny powieściopisarz nie posiadał. Żył on nie subiektywnością ale obiektywnością: świat zewnętrzny pochłaniał jego *ja* całkowicie. To też w chwilach, gdy przestawał żyć w świecie zewnętrznym, gdy nie miał nic nowego około siebie, coby go zajmowało, odczuwał wielki smutek, bo czuł się samotnym, bo czuł próżnię w sobie niczem nie zapełnioną. Smutek ten wielkim bardzo być musiał, skoro rozlewał się w ostatnich jego pismach — najpiękniejszych.

Maupassant czarował publiczność swemi utworami i uwielbiany był przez nią. Sława jego rosła z dnia na dzień. Śmiejące się doń szczęście prowadziło go tak wysoko, ile sam tego mógł zapragnąć. Żaden pisarz nie miał tak szczęśliwego debiutu i tak szybkiego powodzenia jak Maupassant. Zadawała on wszystkie umysły, poruszał wszystkie uczuciowości, gdyż był jasny, prosty, pełen siły i równowagi, aczkolwiek był pesymistą. Posiadał on wszystko, co człowiek może zapragnąć, piękność, zdrowie, majątek,

¹⁾ Portret Guy de Maupassanta pomieściliśmy w tegorocznym *Świecie*, na str. 348. (Przypisek redakcyjny.)

sławę, a jednak nie był szczęśliwy. Z wesołego pesymisty, jakim był z początku, stawał się pesymistą coraz bardziej smutnym. Ustawiczny widok tylu głupstw, słabości i nędz ludzkich, polowania na szczęście tak powszechnego i tak powszechnie zawodzącego, będącego zabawką próżną całej ludzkości, musiał go do czarnych doprowadzić refleksyj. Każdy badacz zresztą, każdy spostrzegacz musi dojść do takiego stanu ducha. Ażeby poznać jego duszę, potrzeba przeczytać jego *«Au fil de l'eau»*. Książka ta posiada tę zaletę, że daje dużo do myślenia. Niema w niej tchnień rozkoszy życia, smutne refleksje tylko ustawicznie się w niej przeplatają. — Maupassant lubił przerzucać się do miejscowości nowych, nieznanych, lubił poszukiwać nowych wrażeń. Żył zdala od świata literackiego i unikał wszelkich rozmów o literaturze. W wspomnianej wyżej książce spotykamy go na własnym jego statku na morzu Śródziemnym, w zatoce Juan, w czasie zupełnej pogody. »Cisza ta — pisze on — to cisza łagodna i ciepła wiosennego poranku na południu; zdaje mi się, że już tygodnie, miesiące, lata minęły od chwili, gdy opuścił ludzi mówiących i ruszających się. Czuje ogarniające mną upojenie pozostawiania sam na sam, upojenie słodkie, niczem niezakłócone ani listem białym, ani depeszą niebieską, ani skrzypnięciem drzwi, ani szczekaniem psa mego. Nie można mnie wołać, zapraszać, uprowadzać, ujarzmić uśmiechami, męczyć grzecznościami. Jestem sam, prawdziwie sam.«

W innym miejscu: »Są ludzie, którzy lubią wszystko, których wszystko zachwyca. Lubią słońce i deszcz, śnieg i mgłę, zabawy i ciszę swych mieszkających, wszystko co widzą, wszystko co czynią, wszystko co mówią, wszystko co słyszą... Życie jest dla nich rodzajem zabawnego widowiska, w którym sami są aktorami, jest rzeczą dobrą i zmienną, która, nie budząc zbyt wielkiego w nich zdziwienia, zachwyca ich... Inni jednak ludzie, przebiegając błyskawicą myśli wązkie koło możliwych zadowoleń, przybici zostają wobec nicości szczęścia, jednostajności i nędzy ziemskich rozkoszy. Szczęśliwi, którzy nie znają wstrętnego obrzydzenia do tych samych czynności ciągle powtarzanych; szczęśliwi, którzy mają siłę rozpoczynać codziennie te same zajęcia, z temi samymi gestami, około tych samych sprzętów, wobec tego samego widnokręgu, pod tem samem niebem, wychodzić temi samymi ulicami, gdzie spotykają te same

twarze i te same zwierzęta; szczęśliwi, którzy bez wielkiego wstrętu spostrzegają, iż nic się nie zmienia, iż nic nie przemija i że wszystko męczy.« — »Wszystko przeżyłem, nie rozkoszując się niczem. Potrzeba mi było żywotności całej rasy, różnorodnej inteligencji rozrzuconej po wszystkich jestestwach, wszystkich zdolności, wszystkich sił i tysiąca egzystencji w zapasie, noszę bowiem w sobie wszystkie pragnienia i wszystkie ciekawości, a zmuszony jestem na wszystko patrzeć i nic nie uchwycić... Dlaczego to cierpienie życia, gdy większość ludzi doznaje tylko zadowolenia? Dlaczego ta nieznana męczarnia, która mnie rozgryza? Dlaczego mi nie zaznać istoty przyjemności, oczekiwań i rozkoszy? Dlatego, że noszę w sobie

jasnowidzenie, będące jednocześnie siłą i całą nędzą pisarzy. Piszę, gdyż rozumiem i cierpię z powodu wszystkiego co istnieje, gdyż za dobrze znam to wszystko, a głównie, gdyż widzę wszystko w sobie, w zwierciadle swej myśli, a niczego nie mogę używać...«

Jakżeż często płakać musiał Maupassant, gdy sam z sobą pozostawał! Wstrętną mu była wszelka sztuczność cywilizacji, wymuszoność grzeczności ludzkich, marność złudzeń życiowych i kłamstwa kobiet, których serce poznał znakomicie. Pragnął kochać cośkolwiek, lecz nigdzie nie mógł znaleźć niczego, co by nie było nędznem, słabem, wstrętnem...

Czy słusznie oceniał wartość ludzkiego życia?

Prawda, że życie ludzkie — to ciągła pogoń za nigdy nie uchwytną marą, ciągnie ono nas jednak ku sobie, zmusza do walki i budzi nadzieję czegoś lepszego. Prawda, że więcej w niem łez i zawodów niż radości i szczęścia, lecz jak

niema światła bez cieni, tak również niema dobra i piękna bez zła i brzydoty, przyjemności bez cierpienia, radości bez smutku. Życie jest syntezą jednych i drugich, nie jest ani zupełnie dobrem ani zupełnie złem, jak to zresztą wykazał sam Maupassant w powieści swej *«Une Vie»*. Jeżeli własne jego życie było dlań męczarnią, to męczarnia ta nie była i nie jest bezowocną dla jego czytelników. Nie żyjemy bowiem wyłącznie dla siebie, ale i dla tych, którym choć trochę szczęścia, choć trochę chwil przyjemnych dać możemy.

W Guy de Maupassancie upostaciowała się wyraźnie ludzkość, żyjąca tchnieniem nadziei i rozbijająca się o fatalność rzeczywistości.

Dr. ANTONI ŻŁOTNICKI.



STATKI KRZYSZTOFA KOLUMBA
(SANTA MARIA, PINTA, NINA).

MIKOŁAJ BARABINO.



KRZYSZTOF KOLUMB PRZED RADĄ W SALAMANCE.

(OBRAZ ZNAJDUJĄCY SIĘ W PAŁACU ORSINI W GENUI).

PIELGRZYM.

Choć biednym jestem rozbitkiem na ziemi,
Choć różne słońca złościły mi szlaki,
Choć zdroj czerpałem z Libanu cysterny,
Z Tybru-m się pieścił grzywami płowemi
I mknął jak żóraw, jak wędrowne ptaki,
Przyjmij mię Polsko, — bo ja syn twój wierny!

Zdążam ku Tobie, grobie męczennicy,
Z troską na czole i z tęsknotą w duszy,
Z obuwiem w dłoni, w szarej włosiennicy,
Wstrzymując oddech — aż własny pęd głuszy —
A serce ledwie w uczuciu nie skona,
A wargi szemrzą: to ona! to ona!

To ona! ona! pokutnica święta,
Ta córka sławy jak w harfie zaklęta!
Nad wieków ośmiu usiadła mogiła,
Niby Prometej na skale rozpięta,
Potęgą myśli rdzawe zrywa pęta
I żmije krwią jej i chwałą opięta.

Szeptem gwarzyły wciąż mi o niej Tatry,
Wiotkie topole i przydrożne głogi,
Z Giewontu, z turni pokłon śląc wiatry,
I każda rzeczka i kmiotek ubogi,
Co na niedzielnej splata świtce ręce
I w proch się korzy tuż przy Bożej Męce.

Ona mi pokłon śle przez kwiaty, kłosa,
Przez lśniąco gwiazdki — gdy noc nieskończona —
Przez grzechot żabek na stawach w sitowiu,
Co spływa echem śród wilgoci rosy
I ginie w wiatrach jak pieśń Aryona, —
Przez księżyc smutno patrzący na nowiu.

Ona mi chwały rozpostarła tęczę,
Chwały Kościuszki, chwały Mickiewicza,
Co mary trwogi spędziwszy pajęczę,
Zgasła pochodnię — u nowego znicza —
Wielką, rumianą rozświecili łuną,
By się paliła nad narodu truną.

Ona mi mówi, że w zimnym przegubie,
W twardym ugorze, z drzewa domowinie,
Śpi moja siostra... prześni wieczność całą...
Mnie przez to z ziemią wiążąc jakby w ślubie...
Śpi wielu, wielu druhów w słowie, czynie,
Których tak serce namiętnie kochało!

O z Tobą piękną i w cierpieniu jasną
Bogdajby dożyć zwycięstwa w mej wierze!
Potem już oczy niech na światło zgasną! —
Ojczyzno! z ducha rodowód się bierze... —
Więc karcieć możesz — gniew twój nieśmiertelny —
Lecz nie odpychaj, bo ja syn twój wierny!

ERNEST DEICHES.

CZAS POWSTANIA »ANHELLEGO« I ZNACZENIE POEMATU.

(Ciąg dalszy).

Dwie zwłaszcza okoliczności czynią mi to przypuszczenie bardzo podobnem do prawdy, raz, »Anhelli« zawiera tak samo, jak »Kordyan« autobiograficzne rysy, — zwłaszcza wspomnienie nieszczęśliwej miłości dla Ludwiki Śniadeckiej — a nadto oba charaktery są właściwie tylko podwójnem wydaniem jednego i tego samego typu człowieka wielkich pragnień, podniosłych uczuć, miłości bez granic dla kraju i słabej woli — tylko, że Anhelli oczyszczony jest nieszczęściami z wszystkich brudów i żądz ziemskich. Jak kraina śnieżna Sybiru — pełna czarów mistycznych, z zorzą płonąca na niebie i zrózowionym śniegiem, z renami skubiącemi mech i duchami wstającymi z grobów — zamienia się w senny obraz, tak postać główna poematu ulatywać się zdaje, stopami ledwie dotykając ziemi.

Powtóre już w »Kordyanie« poeta wkłada staremu Grzegorzowi w usta straszny opis pastwienia się rosyjskiego wojska i Baszkirów pogańskich nad jeńcami prowadzonymi w Sybir. Jest to niezawodnie preludium do dalszych części »Kordyana«, w których poeta umyślił odmalować całą grozę Sybiru.

Myśl ta opisu cierpień wygnańców na Syberii zajmowała niemal wszystkich poetów-wieszczów. Kraśniński przelewa ją w cudownej piękności wiersze »Ostatniego«; Ujejski pisze porywający w swej prostocie »Ustęp z powieści Sybirskiej«; dwadzieścia lat przed nimi Mickiewicz, w jednym ze swych listów do Niemcewicza, zwierza się z planu nakreślenia w dalszym ciągu »Dziadów« wygnania syberyjskiego i żyjącego jeszcze jednego z konfederatów barskich. Niestety,

Mickiewicz nie zostawił dalszego ciągu »Dziadów«, ale Słowacki przedstawił tego ostatniego z konfederatów barskich w jednym ustępie »Anhellego«. Jest to nowy przyczynek do stwierdzenia starej prawdy, że każdy czas ma swoje główne myśli, ulubione postacie, widziane równie jasno przez wielkich twórczych duchów, że zatem nigdy dość wystrzegać się nie można niemal zawsze niesprawiedliwych zarzutów, czynionych poetom z powodu rzekomych reminiscencyj lub naśladownictwa!

Dla ocenienia myśli przewodniej »Anhellego«, wskazanie rysu ścisłego jego powinowactwa z »Kordyanem« bardzo jest ważnem. Spisek koronacyjny przypada na rok 1829. W roku 1830 wybucha powstanie, które skończyło się klęską; Anhelli jest jedną z postaci owych czasów — po katastrofie. Kordyan spodziewał się jeszcze pomocy obcych, pomocy kościoła; — zadał gwałt naturze swojego społeczeństwa, wzdrygającej się na myśl o królobójstwie, bo miał zamordować cesarza Mikołaja. (Wiadomo skądinąd, że po słowie, których wtajemniczyć chciano w spisek w szkołę podchorążych, zaprotestowali przeciw zamachowi na życie cara). Kordyan nie podołał zadaniu, którego się podjął. Widmo uraga mu w strasznej scenie nocnej:

Koronę nosił car;
Krew Piotrów, krew Iwana
Leje się z niej, jak z czar:
Podłogę polską czyszcze,
Bo krwią carów zwalana,
Ale śladu nie zniszczę
Chyba za drugi wiek!

Zamach się nie udał. Kordyan mógł się jednak spodziewać zwycięstwa walki otwartej narodu (która stanowić miała zapewne część drugą trylogii). Anhellu takiej nadziei już nie miał, jest to Kordyan z trzeciej części utworu, postać z tragedii, rozgrywającej się już po roku 1831, w czasie, kiedy znikły wszystkie nadzieje, a niewolno było rozpaczać. Poeta zakazywał rozpaczać, posilkując się najciemniejszymi barwami swej palety, kreśląc ból bezbronnych, rozpanoszenie się dzikie zwycięzców i każąc Anhellemu patrzeć, cierpieć — i milcząc iść aż do śmierci. O tło utworu mniejsza. Poeta wziął za tło Sybir, aby tem łatwiej odmalować całą nędzę społeczeństwa polskiego, a i dla tego, bo w pierwotnym planie »Kordyana« o Sybirze myślał. Sybir nie jest tu allegorią samej emigracji, ale raczej całej Polski z wszystkimi jej nieszczęściami politycznymi. Bohaterem poematu zrobił poeta postać bierną. Anhellego życie ma być cierpieniem; cnotą jego poddanie się, celem — śmierć, bez nadziei. Słowacki, jak każda wielka indywidualność, miał wiarę w pracę jednostek i do jednostek a nie do ogółu zwracał się w swoich dziełach. Chciał podnieść skalę poświęceń. Piszac »Anhellego« był przeciwnikiem wszelkiego ruchu rewolucyjnego, bo nie wierzył w jego możliwość. Domagał się tedy głębokiej, pełnej ofiar miłości, która nic dla siebie nie żąda i żadnej nie ma nadziei. Podróż na Wschód i pobyt w klasztorze libańskim Bet-Cheszban wpłynęły też na poetę, iż askezę, odsunięcie się od świata uważać zaczął za czynniki postępu. Poprzednio już Mickiewicz potrafił o tę strunę, tętniącą w duszy ówczesnego społeczeństwa. Część III »Dziadów« była programowem dziełem mistyki religijnej. Szukający pociechy umysł wierzyć chciał w nieskończoną siłę poświęceń, uczuć... Słowacki w »Anhellim« kazał ślepo przyjmować ból, a z przeszłości uchylił zasłony, nakreśliwszy rycerza, obwołującego walkę o wolność narodów. Poeta oczywiście takich typów jak Anhellu mieć chce jak najwięcej, zawsze gotowych do ofiar i cierpiących cicho — aż godzina wybije.

Jeszcze wyraźniej wytłómaczy nam charakter Anhellego historia powstania poematu. Profesor Antoni Małecki w znakomitem swoim dziele o Słowackim twierdzi, że powstał on w roku 1835 — i dowodzi swego przypuszczenia cytatami z listów genewskich poety do matki. Myśl napisania poematu o Sybirze zrodziła się w głowie poety — zdaniem prof. Małeckiego — na widok góry Montblanc, śniegiem okrytej, o której pisze do matki, że »jest podobna do snycerskiego posągu sybirskiej krainy«. Styl też biblijny, jakim »Anhellu« jest pisany, mógłby za dowód służyć, że powstał w roku 1835, kiedy poeta pilnie czytywał pismo święte. Nadto matka poety dopisała na liście z r. 1835 uwagę, że poemat, o którym syn w liście wspomina, jest »Anhellu«. Zwróciłbym też uwagę na dwa ustępy w korespondencji. Jeden w liście z dnia 20 października 1835 opiewa: »Raz wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano; dzwon kościoła wiejskiego nadzwyczaj głośny i ponury zapełniał całe powietrze. Cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga. Nie wiem, dlaczego opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że Ty sobie Mamo droga lepiej mnie wystawiasz w takim obrazie. Jest to niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz.« Otóż zdaje mi się, że rozdział

VIII »Anhellego« powstał w duszy poety z reprodukcji tego ciemnego parowu, który się zmienił na podziemia kopalni i potoku, z którego powstało jezioro w poemacie, wreszcie tego dzwonu ponurego, którym jest »echo od wybuchu miny, huczące nad głowami, jak dzwon podziemny«. Z niedzieli zrobił poeta w »Anhellim« imieniny królewskie, dzień wytchnienia. W ostatnich dniach 1834 r. donosi poeta matce, że czyta Szekspira i cytuję ustęp z Ryszarda II: »Język mój będzie mi teraz niepotrzebnym tak właśnie, jak rozstrojona lira, albo harfa.« Ustęp ten odnajdujemy prawie dosłownie w rozdziale XV »Anhellego« (kiedy Anhellu skarży się aniołom na swój los).

Wszystkie te jednak dowody przemawiają chyba za tem, że »Anhellego« poeta pisał już w r. 1835, ale nie stwierdzają, że skończył poemat w tym roku — a wcale ostać się nie mogą po nowych szczegółach z podróży Słowackiego na Wschód, podanych (w listopadowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* z roku 1891) przez Dra Henryka Biegeleisena na podstawie nieogłoszonego pamiętnika poety. Dowiadujemy się tam, że Słowacki w dzienniku swej podróży z roku 1836 skreślił plany dwóch poematów dotychczas nieznanych z imienia nawet. Pierwszy p. t. »Rhamezes« w czterech częściach miał być fantastyczną epopeją z czasów egipsko-greckich, w której występują duchy, pustelnicy, Rhamezes, Homer. Treści tego poematu zestawień podobna z urywanych zdań i słów wpisanych przez poetę do pamiętnika. Mniej zrozumiałym jeszcze przedstawia się poemat drugi bez tytułu, z którego treść 28-miu pieśni podał poeta nie już w zdaniach, ale w samych tylko pojedynczych słowach. Z utworu tego zachowało się kilkadziesiąt tercyn, a z tych Dr Biegeleisen ogłosił 14, które odczytać mu się udało i które stanowią początek pieśni trzeciej. Z zachowanych tych urywków trudno odbudować choćby tylko plan ogólny dzieła, ale treść kilku pieśni możnaby odgadnąć przez porównanie z »Anhellim«. I tak czytamy: Pieśń III »Dzieci — Tonio«; Pieśń IV: »Spalenie się człowieka na koniu — próchno.« Kto jest Tonio, nie wiem, ale dzieci z pieśni III i spalenie się człowieka na koniu i próchno z pieśni IV odnajdujemy w trzecim rozdziale »Anhellego« w scenie popa z dziećmi. Pieśń VI zatytułowana: »Chata — jabłoń gwiazd« znajduje się w rozdziale VI »Anhellego«, w którym celnik najeżdża chatę wygnańca, ostatniego konfederata Barskiego i odziera go z całego mienia, a gdy i z jabłoni strząsnąć chce owoce, gałęzie zapłonęły gwiazdami. Pieśń VII: »uczta jeńców pijanych« przeszła do rozdziału XII »Anhellego«. Pieśń X: »Jama — historia« i pieśń XI: »Dalszy ciąg — zgon kobiety« zmieniły się w »Anhellim« na cudowny rozdział XIII, który kreśli życie Anhellego i Ellenai w chacie z lodu i śmierć pokutnicy. Pieśń XIII: »Mewy — słońce na wschodzie — Boże Narodzenie« odnajduje się w rozdziale XVI, kiedy Anhellu umiera przy ostatnich blaskach zapadającego słońca, widząc mewy białe, ulatujące w stronę Polski. Pieśń XV: »Cmentarz — gil — palą kości« mamy w rozdziale XI, kiedy płomienny duch biskupa wstaje z grobu i wspomina gile, co róż girlandami przylatywały ubierać suche drzewa Syberyi, aby mu przypominały jabłonie sadów ojczyźnej ziemi. Pieśń XVI: »Uczta duchów — zorza północna — Anieli Piasta« po części wyzyskaną została w rozdziale XIV i XV. Pieśń XIX: »Dante znika — Anioł prowadzi w podziemne kraje«, naprowadza mnie na myśl, że postać Szamana zrodziła się w duszy po-

ety z reminiscencji Dantejskich i jak Vergilius Dantego, tak Dante poetę miał prowadzić w piekło — sybirskie! Myśl tę poeta porzucił i z Dantego i anioła ułął tajemniczą postać Szamana, *który dla mnie jest uosobieniem wielkiej cudotwórczej poezji wieszczej*. Szaman prowadzi Anhellego w »kraje podziemne« w rozdziale VII, VIII i IX. Pieśń XX: »Sen jeńców — zgon księdza« jest przedmiotem rozdziału VII i VIII. Pieśń XXII: »Odpoczynek nad solnem jeziorem« odnajduje się w rozdziale VIII; wreszcie Pieśń XXIII: »Przez różgi starzec łańcuchami bity« wcielona została do poematu jako straszna scena rozdziału IX.

Jakżeż więc pogodzić tę sprzeczność w podaniach prof. Małeckiego, stwierdzonych uwagą matki poety, uwag dalej wyczytanych z korespondencji z tym faktem, że poeta w roku 1836 kreślił plan poematu w 28 pieśniach, z którego 13 pieśni odnajdujemy w »Anhellim«?

Jeśli »Anhelli« powstał z pierwotnego planu trzeciej części »Kordyana« — co dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości — to poeta przed rokiem 1835 musiał już nad planem tego poematu się zastanawiać i mógł nawet w roku 1835 wielką część jego napisać, ale nie skończył dzieła, bo ani o ukończeniu tego poematu wzmianki nie ma w listach do matki, ani —

gdyby go skończył był, nie byłby użył na nowy poemat części tak znakomitego utworu, którego wartość całą znał najlepiej i który nawet poświęcić chciał swojej matce. Podczas podróży — z fragmentów ówczesnych »Anhellego« mógł się zrodzić plan nowego obszerniejszego poematu w 28-iu pieśniach z tą samą zapewne zasadniczą ideą. Zaczął go też pisać w tryoletach, jak już przytoczyłem. Ale forma ta znużyła go, jak opowiada w Beniowskim:

Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety
Muza została mi rymami dłużną,
Z tego więc poszło, że pisałem prozą.

(Pieśń V. Strofa XI.)

Wyznanie to jest dla nas bardzo ważne; dowodzi bowiem, że »Anhelli« w każdym razie w dzisiejszej przynajmniej formie powstał po ułożeniu planu poematu w 28-iu pieśniach z czasu podróży na Wschód. Z tercyn mało co się przechowało a niejedna przeszła do prozy późniejszej. Między przedrukowanymi przez Dra Biegeleisena czytam:

Rzekłem: Jest fala na wypadków rzece,
Jeśli się rzuci człowiek z nią, popłynie
Aż na wierzch ludzi — w szczęśliwych fortece,
Lecz jeśli raz się z tą falą rozminie,
To całe jego życie płynie smętne
Nędzą i bólem. W młodości godzinie
Ja się minąłem.

Myśl tych tryoletów odnajdujemy w skardze Anhellego przed aniołami: »Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniósła mnie daleko i już nie wrócę«.

Stanowczo twierdzić można, że »Anhelli«, jeśli ułamki jego istniały przed podróżą na Wschód, uległ całkowitej zmianie, że zwłaszcza druga połowa poematu jest produktem tej podróży. Szerokie puszcz

z Suez przypomniały pocie jego samotność, jego ojczyznę nieszczęśliwą. W Jerozolimie spotkał się z bratem swego przyjaciela 14 lat szkolnych, z Aleksandrem Szpitznaglem. Spotkanie opisał w liście do matki z dnia 19 lutego 1837 r.

»Zastaliśmy bramy miasta zamknięte: cisza grobowa, księżyc, szczekanie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy — niepewność, czy firmany nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować, jakieś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd

do Jeruzalem. Nareszcie po dwóch godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru. Spitznagel, słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół; biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: — »Oleś!« — Nie poznał mnie... Pytam go po raz kilka: — »Jako? czy mnie nie znasz?« — Odpowiada mi po trzykroć: — »Niech pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie.« — Nakoniec musiałem ze ściśniętym sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeśli przykrą mi była ta chwila, to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem. Przyszedł do mnie i wzięwszy za rękę, powiedział: »Do zobaczenia!« Oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli wyjeżdża to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba. Cały ten dzień było mi smutno.«

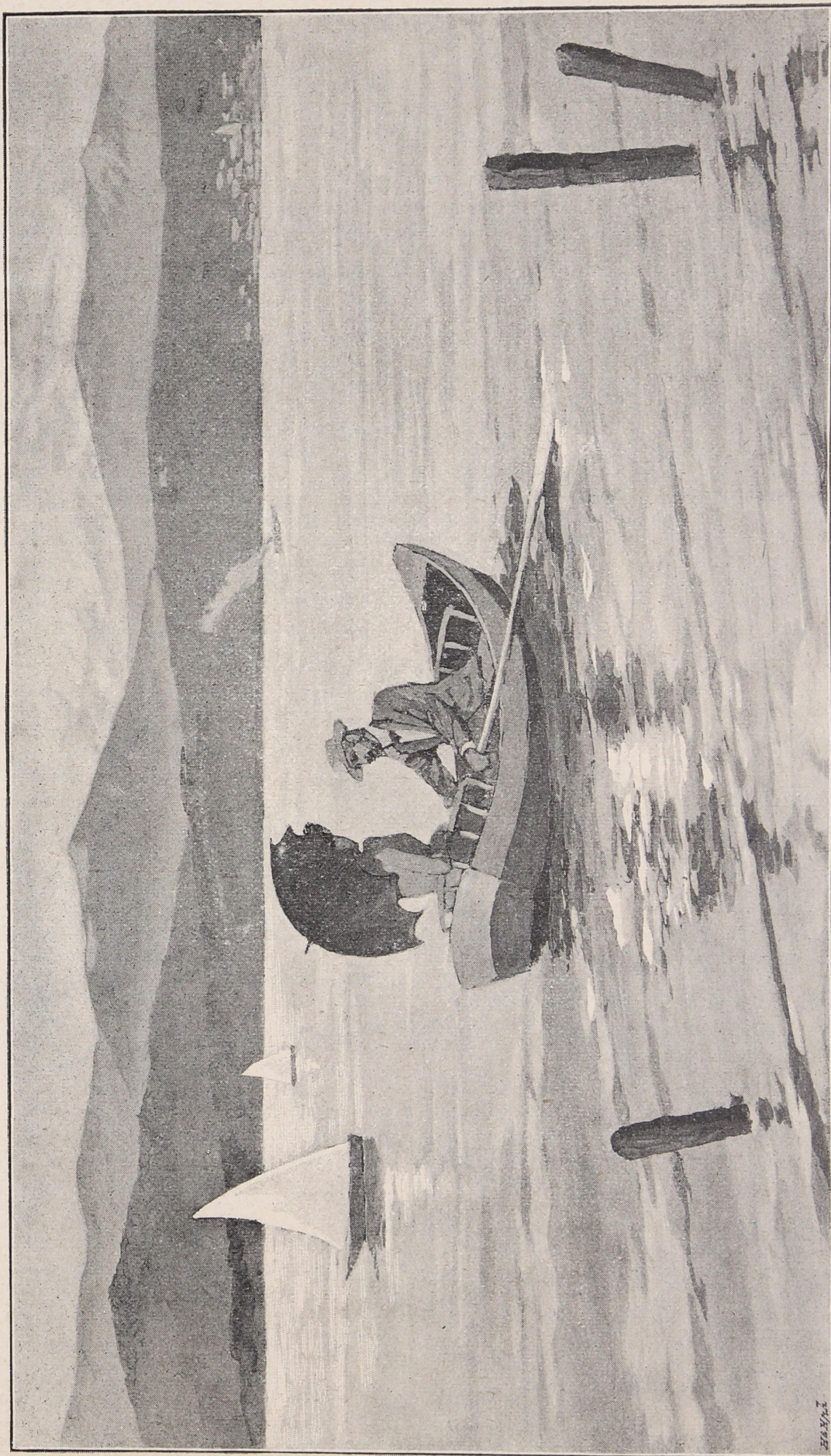
Wrażenie tego spotkania musiało przypomnieć mu niejedną chwilę młodości. Ożył w jego duszy cały romans przyjaźni i miłości nakreślony w »Godzinie myśli«, ożyły sceny »Kordyana«, w których Ludwika »dziecka kochanka« — jako Laura — wystę



KRZYSZTOF KOLUMB WKOPUJE KRZYŻ NA ODKRYTYM LĄDZIE.

(Fresk w kaplicy Palazzo Ducale w Genui).

STANISŁAW JANOWSKI.



NA JEZIORZE.

puje i wtedy to do planu poematu weszła zapewne Eloë.

Ignacy Matuszewski w studium umieszczonem w lipcowym zeszycie »Ateneum« za rok 1892 dowodzi, że na stworzenie postaci Eloi wpłynął głównie poemat Alfreda de Vigny. Może być, że pewne szczegóły powstały z reminiscencji poematu »Eloë«. Ale myśl wprowadzenia Eloi do Anhellego zrodziła się

dopiero w Azji podczas podróży, a zrodziła się z reminiscencji nie obcego utworu, ale z własnych bólów. Między Eloë, kochanką, co »pierwszą i ostatnią była« (»Godzina Myśli«), a Laurą — jest najściślej powinowactwo. Ludwikę Śniadecką przypominało poecie nie tylko spotkanie z Szpitznaglem, wspólnym obojga przyjacielem, myślał on wiele o niej już w Egipcie. Tam doszedł go list, że wychodzi za mąż.

(Dokończenie nastąpi.)

DR HENRYK MONAT.

K R O N I K A.

* Zanotowaliśmy już w *Świecie* drogą Polakom siedmdziesiąt rocznicę urodzin Kornela Ujejskiego pomieszczeniem na kartach naszego dwutygodnika studium krytycznego o działalności poety, pióra Franciszka Rawity (Gawrońskiego). Rocznicę tę, przed paru dniami (12 września) obchodził uroczystie kraj nasz cały i W. Ks. Poznańskie, śląc ukrywającemu się na wsi wieszczowi: adresy, telegramy, listy. Redakcja nasza wzięła udział w szczerych i ogólnych manifestacjach. Wszystkie objawy czci — nasze i drugih — płynęły z serc, przepełnionych wielką, głęboką, gorącą miłością. Polska pod zaborem rosyjskim obchodziła urodziny poety cicho, w skupieniu, duszą zwróconą ku temu, który umiał za nią skarżyć się Bogu — tak wymownie i boleśnie. Raz jeszcze wznosimy okrzyk wyrwany z piersi: Cześć Jeremiu! — Komitet lwowski, z prezydentem miasta D-re m Mochackim na czele, chcąc dać sposobność wielkim i małuczkim złożenia lub przesłania wyrazów czci autorowi »Chorału« przeznaczył na ten cel cały miesiąc — »miesiąc jubileuszowy Ujejskiego« — poczynawszy od d. 12 września, jako właściwej rocznicy urodzin, do d. 14 października, który to dzień na końcową uroczystość w stolicy kraju jest przeznaczony.

* Najświeższy numer czerniowieckiej *Gazety Polskiej* mieści w sobie portret Kornela Ujejskiego, artykuł pocie-jubilatowi poświęcony, oraz adres wystosowany do niego przez Polaków zamieszkałych w Czerniowcach.

* »Związek literacki«, stowarzyszenie szczerze i wiernie służące sprawie nauki i literatury, przestało w d. 12 września telegram Kornelowi Ujejskiemu.

* W Poznaniu d. 10 b. m. obchodzono pięćdziesięcioletni jubileusz znakomitej pracy naukowej i literackiej Augusta hr. Cieszkowskiego, prezesa Towarzystwa Naukowego. W uroczystości przyjęli udział z Krakowa: Stanisław hr. Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności; Dr Fryderyk Zoll, wiceprezes tejże Akademii; Dr Stanisław Madejski, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego; Ks. prałat Chotkowski, prorektor tejże wszechnicy. Nadto profesorowie uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego: Dr Kasparek, Dr Leo, Dr Kleczyński, Dr Milewski, Dr Rosenblatt, Dr E. Till, Dr Pilat i Dr Dembiński. Przytem: Henryk Sienkiewicz, kilku młodszych literatów, sędziów, adwokatów, dziennikarzy, rejentów, dyrektorów banków — ze wszystkich dzielnic ojczyzny naszej — biorących udział w trzecim zjeździe ekonomistów i prawników polskich, który niemal równocześnie odbywał się w Poznaniu.

* Trzeci zjazd prawników i ekonomistów polskich w dniu 11 b. m. otworzył uroczystie August hr. Cieszkowski w poznańskiej sali teatru polskiego. Imieniem miasta powitał zgromadzenie Dr Wicherkiwicz; imieniem rolników hr. Żółtowski, imieniem prawników pan Motty. Marszałkiem zjazdu przez aklamację wybrany został rektor uniwersytetu krakowskiego Madejski, zastępcą wiceprezes Akademii

Umiejętności prof. Zoll. Poseł Szczepanowski wygłosił niepospolity, wielce interesujący odczyt o postępie ekonomiczno-społecznym w Galicyi od czasu jej samorządu.

* Wiedeńskie polskie stowarzyszenia »Biblioteki polskiej«, »Ogniska«, »Przytuliska«, »Zgody« i »Lutni« obchodziły w d. 10 b. m. uroczystości 210 tą rocznicę odsieczy Wiednia. Inicytorem i kierownikiem głównym tej pięknej manifestacji był p. nadradca Pius Twardowski.

* Stuletni jubileusz Krynicy wywołał ukazanie się w druku kilku cennych prac specjalnych, które wzbogaciły naszą literaturę balneologiczną. Oprócz broszur okolicznościowych, jak »Krynica« przez Władysława Bełzę (o której wspominałyśmy niżej) i relacji o uroczystościach jubileuszowych, wydanej w osobnej książeczce przez *Czas*, mamy przed sobą dwie prace pióra jednego z najzasłużniejszych dla »królowej wód polskich« mężów, Dra Michała Zieleniewskiego, autora »Słownika bibliograficzno-balneologicznego« i wielu innych dzieł. Prace te ukazały się obecnie pod tytułami: »Nasze uzdrowiska czyli stacye klimatyczno-lecznicze« i »Skorowidz ważniejszych zakładów zdrojowo-kąpielowych«. Jestto już drugie wydanie przerobione i uzupełnione. Specjaliści oceniają obie książeczki nader pochlebnie.

* Profesor nadzwyczajny Uniw. Jagiellońskiego Dr Władysław Antoni Gluźniński zamianowany został zwyczajnym profesorem patologii ogólnej i doświadczałnej.

* Rektorem uniwersytetu lwowskiego na przyszły rok szkolny obranym został Dr Ludwik Ćwikliński. Dziekanami zaś wydziałów, teologicznego: książd Dr Jan Bartoszewski; prawnego: prof. Dr Wł. Abraham; filozoficznego: prof. Dr Antoni Kalina.

* Dr Piotr Chmielowski po dwumiesięcznym połyce w Zakopanem, przejechał przez Kraków do Warszawy.

* Stanisław Koźmian bawił tydzień w naszym mieście w końcu przeszłego miesiąca i w pierwszych dniach bieżącego.

* Sewer (Ignacy Maciejowski) z dniem 1 października osiada na stałe w Krakowie i rozpoczyna pisać dużą powieść osnutą na tle stosunków lwowskich.

* Michał Bałucki, który lato spędził w Rytrze nad Popradem, powrócił do naszego grodu, z zamiarem nieopuszczania murów krakowskich całą zimę. Utalentowany komedyo-pisarz kończy obecnie nową komedię p. t. »Ploteczki«.

* Niemiecki pisarz Herman B. Christian ułożył dwuaktowy dramat z powieści Henryka Sienkiewicza »Szkice węglem« p. t. »Der Dorfschreiber«.

* Z willegiatury powrócili: Karol Estreicher, Piotr Stachiewicz, Witold Pruszkowski, Dr Józef Tretiak i Dr Feliks Koneczny.

* Adam Krechowiecki spędził w ubiegłym tygodniu dzień jeden w Krakowie na zwiedzaniu pomników i pamiątek, tło których posłuży mu może wkrótce do nakreślenia nowej

powieści historycznej. Utalentowany pisarz powstał niedawno z łoża, do którego — na kilka tygodni — przykuła go ciężka choroba.

* Panna Ceisinger, autorka nagrodzonego dramatu na krakowskim konkursie imienia Wołodkowicza, gościła w Krakowie w przejeździe do Królestwa dni parę. Dzieło nagrodzone przedstawić ma nowy teatr krakowski jako pierwszą nowość w drugiej połowie października.

* Zygmunt Przybylski w przejeździe z Zakopanego do Wiednia, bawił w grodzie naszym dni kilka. Młody autor dramatyczny wykończył w ostatnich czasach dwie jednoaktowe komedijki, z których pierwsza: »Bzykwitna«, już doczekała się przedstawienia w Warszawie, druga p. t. »Zjazd koleżeński« ukazać się ma w zimie po raz pierwszy na scenie amatorskiej we Lwowie, w salonach J. E. Namiestnika hr. Badeniego.

* Napoleon Hirsband, znany zaszczytnie krytyk, zatrzymał się w Krakowie dni parę w drodze do Berlina.

* Kazimierz Bartoszewicz zamierza urządzić seryę pogadanek (konferencji) o miejscowych stosunkach towarzyskich, teatrze, literaturze i sztuce.

* Teodor Rygier przybędzie — jak nas zapewniają z kompetentnego źródła — w drugiej połowie przyszłego miesiąca. Równocześnie z jego przybyciem nadejdzie odlana z bronzu figura A. Mickiewicza, uwieńczyć mająca pomnik na rynku. Roboty przy monumencie postępują rażno i przed zimą najniezawodniej, ukończone będą, ale uroczyste odsłonięcie pomnika ma mieć miejsce dopiero w roku przyszłym, na wiosnę.

* Jan Galasiewicz, utalentowany autor sztuk ludowych i były artysta dramatyczny — o którego smutnym kalectwie pisaliśmy w *Świecie* — otrzymał posadę w administracji teatrów warszawskich.

* Dwa »wieczorki humorystyczne« p. W. Baracza w sali Kasyna powszechnego zgromadziły wcale liczną publiczność, która bawiła się szczerze i ochoczo.

* Ostatnie pożegnalne przedstawienie w starym teatrze, dane w celu uczczenia pięćdziesięcioletniej nieprzerwanej przeszłości tej sceny polskiej — przeszłości, w której jaśnieli jako dyrektorowie: Meciszewski i Koźmian, jako wykonawcy kreacji poetów: Modrzejewska i Hoffmanowa, Królikowski i Rychter — odbyło się w d. 31 sierpnia z wielką uroczystością przy współudziale tłumnie zgromadzonej publiczności. Grano »Pana Beneta« A. hr. Fredry (ojca), akt V »Zbójców« Schillera, »Ciotkę na wydaniu« Józefa Blizińskiego, »Ciężką próbę« z francuskiego, »Nowy rok« J. Jasińskiego — a w końcu p. Antonina Hoffmanowa wygłosiła wytwornie i z szczerem wzruszeniem piękny poemacik okolicznościowy Lucyana Rydla, który w całości tu przepisujemy:

»Sunt lacrimae rerum.«

Kurtyna spadła i za małą chwilę Wyjdą ztąd wszyscy i światła pogasną.

W mury — gdzie Sztuka lat mieszkała tyle,
Gdzie jeszcze dzisiaj gwarno jest i jasno, —
Cisza i Ciemność z twarzą ołowianą
Wstąpią i już w nich na zawsze zostaną.

Czyż porzucając gmach ten poczerwiała,
Ścian jego nagich nikt się nie zapyta
O dawne lata świetności i chwały?
Czy zapomnienia pomrokiem okryta
Stara ta scena, co dziś pustką stanie,
Wzgardę ma tylko mieć na pożegnanie?

I za co wzgardę? Za co gardzić czaszą
Pękniętą, z której piło się przez lata;
Wszak ona z dłońią już się zrosła waszą!...
— I łzawy zachwyt i radość skrzydlata
I śmiech serdeczny i wspomnień niemało
Na dnie tej czary rozbitej zostało.

Co wspomnień! — Mury brzmią Przeszłości
[echem]

I orszak cały widm się jakichś tłoczy:
To ci, co salę poruszali śmiechem,
Lub łąz gorącą napełniali oczy,
Co was karmili duszami własnymi —
I w ziemię poszli — jak wszystko na ziemi;

Wszystko krom Sztuki! — Choć ginie artysta,
Krew swą serdeczną składając w ofierze,
Sztuka trwa zawsze — wielka, wiekuista,
I wzbudza rzesze ofiarników świeże:
Więc pójdziem — ołtarz porzuciwszy stary,
Na nowym — Sztuce nowe kłaść ofiary.

Grzmotem oklasków i dwoma pięknymi bukietami podziękowała publiczność znakomitej artystce za tę ostatnią ucztę ślicznych dźwięków. Dodać należy, że wszyscy biorący udział w przedstawieniu grali z werwą i zapałem niezwykłym. Wymieniamy tu ich nazwiska, panie: Wojnowska, Siennicka, Kałużyńska, Siemaszkowa, Trapszówna, Wolska, Koźmin, Winiarska; oraz panowie: Siemaszko, Ruszkowski, Rygier, Werner, Śliwicki, Antoniewski, Feliksiewicz, Jejda, Stepowski, Wójcicki, Janikowski, Ortyński, Dorowski. Wszystkich, a szczególnie wyjeżdżających do Lwowa, żegnano gorącymi oznakami sympatii i uznania. Pomiędzy »Ciężką próbą« a »Nowym Rokiem« wprowadzono na scenę p. Jakóba Gliksona. P. Ryszard Ruszkowski przemówił serdecznie do dawnego dyrektora, ofiarowując mu w imieniu kolegów piękny srebrny puchar w upominku. Na przemówienie to odpowiedział p. Glikson, dziękując tak współpracownikom swoim, niosącym chorągiew teatru polskiego z dumą i chwałą, a okazującym mu tyle dowodów przyjaźni, — jak i publiczności krakowskiej, która w ciągu lat ośmiu blisko popierała jego usiłowania, zapewniając teatrowi powodzenie. Cała uroczystość wywarła miłe wrażenie na słuchaczach i pozostawiła po sobie przyjemne wspomnienie. — Stary teatr przy placu Szczepańskim należy już do historii.

* Tygodnik berliński *Gegenwart* pisze co następuje o Wacławie Szymanowskim: »Podnieść musimy obecnie znaczenie w sztuce Polaka, którego o tyle wolno nam sobie przypisać, o ile zalicza się do malarzy szkoły monachijskiej. Nazywa się on Wacław Szymanowski i wystawił równocześnie w Berlinie, zwracający na siebie uwagę obraz p. t. »Tkacz przy warsztacie.« O wiele wyższym jest jednak tryptyk »Modlitwa«, wystawiony w Monachium. (Na ekspozycji secesjonistów. *Przypisek redakcyi*). Nie przypominam sobie ani w literaturze ani w sztuce doskonalszego objawienia się ludowego temperamentu polskiego. Kompozycja odsłania przed nami tajemnicze tło zapалу, uniesienia duszy i mistyczno-marzycielskiego zachwytu, obcego nam trzeźwym Germanom. Ci polscy wieśniacy — a osobliwie kobiety klęczące i pogrążone w modlitwie do Stwórcy — wydają się przejęci dreszczem nadziejskim, który wszystko co jest materią roztopia w rozkoszy duchowej. Mgła kadzidel

przesłania okna nad ołtarzem, ale promienie słoneczne z nich płynące przebijają mglistą zasłonę i oświecają głowy wiernych. Ten fakt zewnętrzny i przypadkowy, zdaje się — niby dłoń Boża — podniecać żarliwość rozmodlonych. Każdy z nich zapomina o otoczeniu, czując tylko siebie samego, oraz pragnienie wewnętrzne połączenia się z promieniącymi blaskami łaski Boga. Potwierdzają to wyciągnięte ramiona, oczy łez pełne, zapadnięte, policzki zaczerwienione, karki ugięte. Przy tem rozlega się spiżowy dźwięk dzwonu, który na obrazie bocznym przedstawiony jest w gwałtownych poruszeniach, tworzących kontrast ze spokojem ołtarza na skrzydle drugim obrazu. Kiedyż, my Niemcy, zdołamy się na artystę, któryby z bystrością obserwacji i techniką pędzla połączyć umiał podobne jasnowidzenie psychologiczne.

* Ostatni zeszyt *Przeglądu Polskiego* mieści dokończenie doskonałej pracy Dra Stanisława Windakiewicza o »Teatrze Władysława IV.« Z szczegółów jakie studium to na jaw wydobyla, wnosić można, że teatr włoski w Polsce, musiał być bardzo dobry, a zatem mógł pozostawić późniejszym scenom naszym wyborne tradycje reżyserskie i wykonawcze. Zalety, jakimi odznaczali się aktorowie-śpiewacy teatru królewskiego w Warszawie między 1633 a 1648 rokiem (Słynęli z nich w całej Europie.) dziś jeszcze zapewniłyby im uznanie krytyki i sukces wobec publiczności. Byli — jak zapewniają współcześni — zarazem naturalni i dystyngowani w dykcji i gestach, rozumiejący najtajniejsze intencje autora, a gdyż czegoś więcej od artystów dramatycznych, nawet w naszym wieku oświeconym i rozmiłowanym w produkcjach scenicznych, wymagać się go dzi i wymagać się zwykło.

* Warszawski salon artystyczny na Nowym-Swiecie urządza wystawę dzieł Andriollego. Zarząd gromadzi nie tylko rysunki przedwcześnie zgasłego znakomitego artysty, ale także i jego obrazy olejne.

* W d. 5 b. m. otwarto w Wilnie czasową wystawę sztuk pięknych, na której znajduje się przeszło dwieście obrazów przeważnie warszawskich malarzy.

* Artyści polscy wystawili na ekspozycji w Chicago przeszło 130 dzieł sztuki. Według alfabetycznego spisu figurują na niej: Alchimowicz, Bilińska, Brandt, Brochocki, Ciągłński, Cichocki, Chełmoński, Daniszewska, Dakczyńska, Fałat, Gażycowa, Genelówna, Gerson, Gościński, Gramatyka, Gryglewski, Gumński, Jasiński, Kasiewicz, Kausik, Kossak, Juliusz, Kędzierski, Kostrzewski, Kowalski, Malczewski, Maleszewski, Masłowski, Maszyński, Matejko, Mirecki, Mroczkowski, Mendenstein, Owidzki, Pawłowski, Piątkowski, Piechowski, Pilatti, Piotrowski, Piotrowicz, Podkowiński, Popiel, Pawliszak, Poświkowa, Pruszkowski, Rosen Jan, Rosen Paweł, Reyzner, Ryszkiewicz, Siemiradzki, Suchodolski, Zdzisław, Stankiewiczówna, Stasiak, Styka, Sztencel, Szwoynicki, Szyncler, Tondos, Trębacz, Tetmajer, Wiśniewski, Wodzinowski, Zaleski, Zaremski, Żmurko. Z nich otrzymać mieli nagrody: Matejko, Brandt, Siemiradzki, Pruszkowski, Malczewski, Fałat, Tetmajer, Gerson, Jasiński, Kędzierski, Ryszkiewicz i Piechowski.

* Znany śliczny szkic Adama Szymańskiego »Hanusia« ukazał się w przekładzie niemieckim w *Deutsche Lesehalle*, tygodniowym dodatku literackim do *Berliner Tagblatt*.

* Zeszyt sierpniowy *Russkiej Myśli* mieści już początek przekładu »Rodziny Polanieckich« powieści Henryka Sienkiewicza.

* W przyszłym numerze *Świata* pomieścimy portrety wszystkich artystek i artystów, wchodzących w skład towarzystwa dramatycznego w »starym teatrze« krakowskim, w ostatnich sezonach; w numerze zaś z d. 15 pa-

ździennika znajdą nasi czytelnicy ilustracyjne odtworzenie »nowego teatru«, w całości i szczegółach, w rysunkach utalentowanego artysty p. Stanisława Fabijańskiego.

* Czasopismo *Kościuszkę* za wrzesień obejmuje: Sto lat temu (Wspomnienie). Odezwa Kościuszki do Litwinów z 11-go września 1794 r. (nieznana). Testamenty T. Kościuszki (c. d.): Testament II-gi z dnia 14-go czerwca 1816 r. Zbiory pamiątek po Kościuszcze (c. d.): II. Wyroby rzeźbione i toczone ręką Kościuszki. Pomnik Kościuszki na rynku w Krakowie. Korespondencja Rełakcyi. Bibliografia do dziejów i życia Kościuszki przez E. Callier'a c. d.

BIBLIOGRAFIA.

»Skargi Jeremiego« Kornela Ujejskiego. — Wydanie szóste, drugą częścią pomnożone. — »Drobne poemata i urywki« Kornela Ujejskiego. — Wydanie drugie, pomnożone. — Przemysł. Nakładem księgarni Jelenia i Langa. 1893.

Witamy to nowe wydanie radośnie. Dzieła znakomitego poety w poprzednich edycjach już są wyczerpane, ledwie w księgarniach antykwarisów je znaleźć można. Wyborną zatem mieli myśl pp. Jeleń i Lang, nakładcy z Przemysła, że je ubrali w świeżą szatę i zajęli się rozpowszechnieniem tych prześlicznych utworów natchnienia i kunsztu. Potrzeba nam ich było w smutnych czasach dzisiejszych. Mam nadzieję, iż rozniecą one w sercach młodych gasnący płomień miłości i wiary, a obudzą w piersiach starszych nieprzejawioną nadzieję. Czyż »Skargi Jeremiego« i »Maraton« polecać potrzeba naszym czytelnikom?! O nie. Gromadka wiernych przyjaciół *Świata* nasz otaczająca życzliwością, kocha prorocze słowa prawdziwych wieszczów. Więć nie wątpimy, że książeczka *bardzo tania*, a poprzedzająca całą serię innych pism Kornela Ujejskiego, wydana niezmiernie starannie, na ładnym papierze, drukiem dobrym, ujęta w udatną oprawę, rozędzie się szybko, świadcząc o miłości naszego społeczeństwa dla poety.

»Obrazki z życia« przez A. M. L. — W Krakowie. — Nakładem księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1893.

(r. p.) O nowellistach i nowellistkach w Polsce — gdyby Słowacki żył za naszych czasów — powiedziałby niezawodnie, że »p« de szczytu krwawym od lat trzydziestu »rodzi się jak grzyby«. — Oto mamy przed sobą dużą książkę, aż z dwunastu nowellami, napisanymi przez autorkę, którą dotąd znaliśmy tylko z recenzji przygołnych (o powieściach polskich i francuzkich), pomieszczanych w *Przeglądzie polskim*. Zabieraliśmy się do przeczytania tych »obrazków« w usposobieniu nie najlepszym, z pewną nieufnością i, powiedzmy szczerze, niechęcią, nie do osoby — zupełnie nam obcej — ale do tomu bardzo grubego, w którym pióro kobiece złożyło w niezwyklej obfitości »swych myśli przedę i swych uczuć kwiaty«. Przyszliśmy, że zostaliśmy przyjemnie zawiedzeni. Nowelle p. A. M. L. nie są zaiste arcydziełami — jak tysiące innych, nawet rozgłośniejszych autorów — a któremi zasypują nas dzienniki i księgarnie, ale znaleźliśmy w nich świeżość, wytworność faktury rzadko spotykaną w belletrystyce polskiej, uczucia może niezbyt wybujałe lecz szlachetne, a nawet pewną artystyczność koncepcji kompozycyjnej, dziś przez tłum piszących zbagatelizowanej lub lekceważonej. Postacie bohaterów i bohaterki tych fejletonowych opowiadań należą wprawdzie przeważnie do jednej tylko sfery towarzyskiej, ale widocznem jest, że autorka sferę tę zna dobrze, że rysuje osobniki do niej należące pewnymi i szczerymi pociągami ołówka, który chociaż unika kontrastów i kocha się w swych modelach, stara się jednak kopiować je z miarą, a nawet niekiedy

z pochwały godną bezstronnością. W tej metodzie twórczej—krytyk nieuprzedzony dostrzeże łatwo nieco tendencyjnego zasłaniania cieni, nadmierne rozpłomienianie sztucznych światła, ale ponieważ obrazek po obrazku, niemal każdy, daje całość wcale harmonijną i ładną, więc Zoil rzuca groty do kołczana i przyznaje tym drobnostronkom wartość literacką, chociaż radby, aby korektor — który czytać będzie korektę przyszłego wydania — usunął »galicyzmy« i »galicyzmy« tu i owdzie szpecące poprawność stylu i czystość naszego pięknego języka.

Aureli Urbanowski. — »Matież«. — Rok 1863. Wydanie drugie uzupełnione. (Wydanie pierwsze w łamach fejetonu »Dziennika Polskiego«). — Lwów. Nakładem Drukarni Polskiej. 1893.

Wierszem jedynym, niekiedy twardym, ale kunsztownym opiewa utalentowany poeta w obrazkach niedużych — chociaż nieraz obejmujących bardzo szerokie widnokręgi i malowanych artystycznie — krwawe dzieje 1863 r. Książkę czyta się ze łzami, a jednak czyta się ją po razy kilka. Całość na wskroś oryginalna, tak w formie jak w treści.

*»Krynica« w stuletnią rocznicę oddania tu-
tejszych źródeł na użytek publiczny. Skreślił
Władysław Belza. — Lwów. Nakładem c. k.
zarządu zdrojowego w Krynicy. 1893.*

Krynica, jedno z najrozgłośniejszych znanych i najbardziej uczęszczanych zdrojowisk galicyjskich, posiada już stuletnią przeszłość, której dzieje barwnie i zajmująco opisał w tej książeczce utalentowany poeta. Czyta się ją jednym tchem, interesuje bowiem od początku do końca, zwłaszcza, że autor oparł swoją relację na źródłowym materiale, jakiego mu dostarczyły broszury i rozprawy D-ów Dietla, Zieleniewskiego, Kopffa i Skórczewskiego, oraz akta dawne i legendy. Wytwornie nakreślona treść uzupełniają ryciny. Druk i papier bardzo staranny i ładny nadają książeczce powierzchowność, kwalifikując ją na stoły salonów.

»Śpiewy historyczne« Juliana Ursyna Niemcewicza. — Wydanie Nowe. — Petersburg. Księgarnia Br. Rymowicz. — Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893.

W piśmiennictwie naszym »Śpiewy historyczne« są cenną pamiątką, której wysokiego znaczenia lekceważyć się nie godzi, chociaż dzieło — jako utwór literacki — nie jest pomnikiem. Dla nas, ludzi nie dzisiejszych, wiersze w nich gładko toczące (nie z brązu) i melodye naiwne są jednak bardzo miłym wspomnieniem, wiążącym się z starą wiarą naszą i starą miłością. Babki i matki śpiewały je nam nad kolebką, a echo ich głosów, wywodzących przeciągle »Od dworaków opuszczona« albo »Za szumnym Dniestrem, na Cecorskim błoni« brzmią dotąd w sercu. I miło i smutno, radośnie i boleśnie o tem wspominać. Dobrze zatem, że znani wydawcy przedrukowali te drogie duszom polskim »śpiewy«. Wydanie ładne, drobne, kieszonkowe. Oby się rozeszło jak najspieszniej.

S. Graybner. — »Mamin synek«. Powieść oryginalna w trzech częściach. — Lwów. Jakubowski i Zadurawicz. — Warszawa. Gebethner i Wolff. 1894.

(r. p.) Jestto tak zwana »powieść sensacyjna« w rodzaju romansów, drukujących się w fejetonach bulwarowych dzienników paryskich. Jedynym jej celem obudzenie zajęcia. Aby je wywołać autor nie przebiera w środkach i wyrzeka się artyzmu. Całość składa się z licznych reminiscencyj, zgrabnie jednak z sobą połączonych. Pomimo, że powieściopisarz stara się naturalistycznie przedstawić wybrany temat — istotnego, szczerzego realizmu w całym jego opowiadaniu nie znajdujemy. Długie dysertacje o morfinomani psychicznego stanu duszy morfinisty nie objaśniają. Nadto brak głębszej, własnej obserwacji w obrazie sfery towarzy-

skiej, którą p. Graybner nie z natury, ale z posłuchów maluje. Omawia on dzieje i przygody swoich bohaterów, ale z charakterami ich zapoznaje nas ledwie powierzchownie, zmuszając poniekąd do odgadywania premis moralnych, które wytworzyły takie lub inne zбочenia etyczne. Postacie jego są sylwetkami, jak cienie chińskie; jedne czarne, drugie białe, trzecie czerwone, bez półcieni i półtonów, dających właściwe barwy złożonym naturom ludzi nowoczesnych. Język w pierwszej części grzeszy galicyzmami; w następnych staje się czystszy i jaśniejszy, ale styl do samego końca nie zdobywa się ani na siłę, ani na kolor, ani na wdzięk, ani na oryginalność. Pomimo tych wszystkich wad — niemal nieuniknionych u debiutanta — »Mamin synek« cieszyć się będzie prawdopodobnie dużym powodzeniem, czyta się bowiem łatwo, interesuje, zaciekawia. Świadczy on o niezaprzeczonej zdolności naratorskiej autora, który umie zająć, ułożyć wypadki powieściowe efektownie, rozwijać je udatnie — jak długą nić wysnuwaną z kłębka — czem pozyskuje sobie niezawodnie życzliwość przeciętnych czytelników odcinków dziennikarskich.

»Pies« — jego gatunki, rasy, wychów, utrzymanie, użytki, układanie, choroby i ich leczenie. Napisał Stanisław Rewieński. — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Jestto doskonała, z wielkiem wyczerpaniem przedmiotu napisana monografia, przyozdobiona licznymi, starannymi ilustracjami, którą wszyscy z przyjemnością przeczytają; bo czyż jest człowiek, któryby choć raz w życiu — w dzieciństwie lub w starości — choć jednego psa nie lubił, a nawet nie kochał szczerze!

»Historja Franka i Frankistów«. Napisał Zygmunt Lucyan Sulima. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki. 1893.

Jest to sumienna praca o jednej z najciekawszych i najmniej znanych sekt religijnych, której dzieje wiążą się niemal ściśle z historją naszego upadku, oraz z życiem społecznotowarzystwem w końcu XVIII i na początku XIX wieku w Polsce. Skutki jej pierwotnego wpływu odbijają się dopiero dzisiaj; niestety, czynników głównych tej całej akcji nie możemy badać psychologicznie, brak bowiem w tym celu wyczerpujących dokumentów i danych stanowczych. Świat zacznie — prawdopodobnie w przyszłym zeszycie — drukować bardzo ciekawe studjum na tymże samym temacie rozsnute. Zwracamy już obecnie na nie uwagę naszych czytelników, wyszło bowiem z pod pióra świetnie władającego formą pisarską, a wydobywał ją — z tychże samych niemal materiałów, co Sulima — umysł umiający zaglądać w tajniki dusz ludzkich.

Kazimierz Rojan. — »Maska«. Powieść współczesna. — Lwów. Jakubowski i Zadurawicz. — Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893.

Młody i dotąd mało znany autor posiada talent niezaprzeczony, obiecujący wiele w przyszłości. Dotąd jeszcze szuka drogi, a jednak z powieści jego — której tytuł wymieniliśmy powyżej — wieje pewna świeżość, która potrzebuje tylko przyoblec się w nieco wytworniejszą i indywidualniejszą formę, aby złożyć świadectwo o oryginalności pomysłu.

*N. Łąnska. — »Misjonarze świętej Rosyi«. — Powieść ze społecznego życia w »Zachodnim kraju«, tłómaczona przez *.*. — W Krakowie. Nakładem Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1893. — Cena i złr. 60 ct.*

Nie jest to w ścisłym znaczeniu tego wyrazu powieść, jakkolwiek opowiadanie budzi interes niezmiernie żywy, a gruby tom, liczący dwieście kilkadziesiąt stron dużych ósemek, czyta się z wielką ciekawością od deski do deski. Artystyczna strona utworu, jego budowa i styl wiele pozostawiają do życzenia, ale za to realne odtworzenie typów i charakterów jest po prostu mistrzowskie. Przyznać należy, że

pisarze rosyjscy wierniej i dosadniej malować umieją czarną i smutną prawdę od autorów zachodnich, nas niewylączając. Wynika to ztąd, że pesymistyczny naturalizm pod piórem belletrystów petersburskich i moskiewskich ma swoją rację bytu, narzuconą poniekąd przez stan duchowy społeczeństwa bez zasad i ideałów, gnębionego ciągłym wyzyskiem przez rój pasorzytów, w którym klasa urzędnicza, najliczniejsza i najsilniejsza, bo oparta o bezprawie przepisów i ukazów administracyjnych, wysysa soki żywotne z innych warstw społecznych. Ona to rozsiewa, mnoży i hoduje zepsucie, nie pozwalając marzyć o moralnem odrodzeniu młodego, ale do szpiku kości zgangrenowanego narodu, pomimo jego prymitywnej naiwności, którą powierzchowni obserwatorowie biorą za szczerość, prostotę i cnotę. Dzieje opowiedziane w »Misjonarzach świętej Rosyi« są okropne, wstrząsające ogromem zbrodni uprawnionej obyczajami i prawodawstwem. Dla czytelnika polskiego są one tem bardziej przerażające, bo po za zwartym, czarnym szeregiem Moskali, odmalowanych w książce wymienionej z nieporównaną dokładnością, widzimy także na drugim planie liczne szkicowe sylwetki — prawdopodobnie portretowane — Polaków znikczemionych, a stanowiących już integralną część ogólnej całości. Zgnilizna ciemności wsiąka w dusze uciemiężonych, rozkładając i niszcząc wszystkie nasze tradycyjne przymioty narodowe, zwiększa wady nam wrodzone, dość znaczne i zgubne same przez się, aby upoważniały do przewidywania zagłady polskości i jej idei w »zabranym kraju«, jeśli tego wszystkiego jakaś nagła i radykalna zmiana nie naprawi. Z całego obrazu jeden tylko lud poleski — bo rzecz się dzieje na Polesiu — chociaż głupi, zdeptany i bezradny, wyłania się z ram nieco szlachetniej, a przynajmniej sympatyczniej, nie dla tego, że jest nam pokrewieństwem bliższy niż Rosyanom — autorka bowiem nie stoi wcale na gruncie narodowym i nie zdaje się go nawet uznawać — lecz z powodu, że budzi on swym losem w jej kobiecem sercu miłosierne współczucie. — Szkoda, że wydawcy nie pomieścili na czele dzieła choćby krótkiej przedmowy, objaśniającej gdzie ukazał się w druku oryginał, zagranicą czy w Rosyi, oraz czy przeszedł cenzurę. — Tłómacz wywiązał się z zadania wcale szczęśliwie, szczególnie w części pierwszej przekładu, druga bowiem — niestety — przepełniona rusycyzmami. Wyrażenia jak: »na czyjej stronie«, »odkryli posiedzenie« itp. niemile rażą ucho czytelnika polskiego.

NEKROLOGIA.

* W Krakowie zmarł Piotr Kozakiewicz, utalentowany artysta-szyteł, żołnierz z 1863 r. człowiek wielkiej zacności, ceniony szczerze przez przyjaciół i kolegów.

* W Kuńkowcach pod Przemyślem rozstał się z tym światem Walery Łoziński, ojciec przedwcześnie zmarłego powieściopisarza Walerego, oraz dwóch żyjących autorów: Władysława, członka Akademii Umiejętności i znakomitego powieściopisarza — oraz Dra Bronisława, znanego publicysty. Nieboszczyk liczył w chwili zgonu 91 lat. Zwłoki jego przeniesiono do Lwowa i złożono w grobie familijnym na cmentarzu Łyczakowskim.

* Z dzienników francuskich dowiadujemy się o zgonie młodego polskiego malarza Władysława Pajgerta, rokującego bardzo piękne nadzieje. Utonął on w oceanie na wybrzeżach bretońskich, w czasie wycieczki na yachcie, którą odbywał w towarzystwie trzech kolegów Francuzów. Ci zginęli z nim razem. Ciało młodzińca wyrzucone przez fale i tymczasowo złożone na cmentarzu francuskim, przewiezione zostało do kraju i pochowane w grobowcu rodzinnym w Sidorowie, w powiecie husiatyńskim.